V 4826

A. K. SEMADENI

ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 29. 21 LIPCA 1934 ROKU

NA ZAWODACH POLSKA-NIEMCY
KWAŚNIEWSKA ZWYCIĘŻA W RZUCIE OSZCZEPEM

Fot. J. Ryś

CENA 1 ZŁ.



Związek propagandy turystycznej m. st. Warszawy

Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy, który podejmuje ciekawy eksperyment rozszerzenia pojęcia turystyki, włączając w akcję przysposobienia stolicy do przyjmowania turystów nietylko techniczne ułatwienie, ale i rozbudzenie niejako patrjotyzmu warszawskiego, podniesienie poziomu uprzejmości i t. d. i t. d. — ściągnął na siebie ogólną uwagę.

Polska prasa tak stołeczna jak i prowincjonalna odniosła się niezwykle przychylnie do akcji Związku, solidaryzując się z jego poczynaniami. Co więcej — i zagraniczne sfery turystyczne poczynają śledzić z zainteresowaniem rozwój tej polskiej placówki, która ujmując pojęcie turystyki z tak odrębnego punktu widzenia, otwiera tem nowe i ciekawe drogi.

Tembardziej życzyć należy, aby kompetentne czynniki otoczyły nową instytucję swoją opieką i dopomogły do realizacji jej pożytecznych zamierzeń.

„ŚWIĘTO WARSZAWY"

RADOSNA MANIFESTACJA ZBRATANIA KRAJU Z ZAGRANICĄ

Termin tegorocznego „Święta Warszawy" 4 — 17 sierpnia zbiega się z terminem II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy i wystawą „Polska i Polacy w Świecie". Termin ten ustalony został na życzenie Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, której zależało na tem, by rodakom przybyłym z obczyzny pokazać Warszawę w odświętnej szacie i zapoznać ich z bogactwem nagromadzonych w stolicy wartości kulturalnych i artystycznych.

W ten sposób Warszawa będzie w okresie od 4 — 17 sierpnia b r. miejscem spotkania Polski ze swoją emigracją, a „Święto Warszawy" stanie się radosną manifestacją serdecznych więzów jakie łączą Macierz z jej dziećmi rozsianemi po lądach całego świata.

Można się spodziewać, że fakt ten ściągnie do stolicy na „Święto Warszawy" z całej Polski liczne rzesze pragnących nawiązać kontakt z Polonją zagraniczną, lub odszukać dawnych znajomych wśród przybyłych do stolicy rodaków z zagranicy, tembardziej, że zniżka kolejowa wynosi 60 — 70% a nadto uczestnikom „Święta Warszawy" przysługuje cały szereg zniżek pobytowych: hotele, restauracje, wstępy do kin, teatrów i t. p.

KONKURS

Koło Polskiej Macierzy Szkolnej imienia Zofji Bukowieckiej ogłasza niniejszem konkurs na utwór literacki dla dzieci (lat 10—14) najszerszych warstw ludności, napisany w duchu ideałów autorki „Janka górnika".

Inicjatorzy konkursu pragną pobudzić twórczość na wdzięcznem a zaniedbanem polu, dotąd bowiem literatura dziecięca powstawała głównie pod kątem widzenia zainteresowań dzieci t. zw. inteligencji z małem i nieistotnem zazwyczaj uwzględnieniem potrzeb miljonowych rzesz dzieci ludu wsi i miast.

Rozmiar utworów: 2—5 arkuszy druku; termin nadsyłania: 31 stycznia 1935; nagrody: 300 zł., 200 zł. i cztery po 150 zł.

Szczegółowe prospekty wysyła na żądanie sekretarjat Koła: Warszawa, ul. Żórawia 22, m. 7.



W NUMERZE:

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH, UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM)

SALWATOR Aptekarza **W. Borowskiego** znany od 50 lat, jako najlepszy środek na **ODCISKI i ZGRUBIENIA SKÓRY**
Żądać w aptekach i składach aptecznych
Skład główny: **„SALBOR"** Labor. Chem.-Farm., **Waliców 11.**

Z ZAWODÓW KOBIECYCH
POLSKA — NIEMCY Fot. Ryś



Rekordzistka świata, Polka Wajsówna, zwyciężyła w rzucie dyskiem.

MARZENIE PRAKTYCZNYCH PAŃ DOMU

o środku umożliwiającem pranie jedwabi i cienkich wełen w letniej wodzie, niedziałającem ujemnie na kolory, niedopuszczającem do zbiegania się tkanin

zostało zrealizowane!

Z chwilą ukazania się w sprzedaży detalicznej

mydła żółciowego

M. MALINOWSKIEGO

Warszawa

Apteka, ul. Nowy Świat 31

Laboratorjum Chem. Farm.

ul. Chmielna 4



DBAJMY O ZĘBY!

DENTOLIN

KARPIŃSKIEGO

JEST NAJLEPSZĄ Z PAST, BO NIE ZAWIERA MYDŁA.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 29 21.VII.1934

WŁADYSŁAW BOGATKIEWICZ

O nasz stosunek do Rosji

Rzeczywistość stawia przed ludźmi zagadnienia nie dające się ominąć i zmusza do szukania takich lub innych rozwiązań. Rozwiązania te idą po linji interesów lub ideologji pewnego typu, są nieraz zależne od jednostek, a nawet od przypadku. Znalezienie takiej lub innej odpowiedzi na wysunięte przez życie pytanie wcale nie przesądza trafności tej odpowiedzi. Trafność rozwiązań wykazuje sama rzeczywistość znacznie później w oświetleniu historycznem. Na tem polega sens i celowość historji, jej wartość życiowa.

Jednem z takich właśnie, nie dających się ominąć zagadnień — jest sprawa naszego stosunku do Rosji. Mam na myśli nietyle politykę w ściślejszem znaczeniu, ile stosunek, że tak powiem, przekonaniowy, streszczający się do pytania: co sądzić o Rosji dzisiejszej i jakie konsekwencje praktyczne z takiego sądu wysnuć?

Pytanie to jest aktualne nie tylko dla kierowników naszej polityki zagranicznej, lub zainteresowanych czynników gospodarczych, jest ono aktualne dla każdego inteligenta, robotnika i chłopa, słowem — dla wszystkich, gdyż „Rosja Sowiecka" — to nietylko nazwa państwa, to jest ujęta w dwóch słowach olbrzymia treść polityczna, gospodarcza, a przedewszystkiem ideowa, treść ciągle fascynująca, bez przerwy podniecająca ciekawość.

O pierwszej fazie naszego ustosunkowania się do Rosji zdecydowały bolesne doświadczenia 1920 roku. Rosja była czemś strasznem, o czem się nie mówiło i nie pisało.

Kurs oficjalnej polityki był zdecydowanie wrogi, w najlepszym wypadku grzecznie obojętny. W społeczeństwie odzywały się mniej lub więcej krwawe wspomnienia.

Powoli brak istotnych wiadomości, — brak rzeczywistego kontaktu wytworzył jakiś fantastyczny cykl bajek o Rosji. Każdy wiedział, że tam coś jest, coś się dzieje, ale nikt nie wiedział, co właściwie.

Zaspokojenia nurtującej społeczeństwo ciekawości podjęli się ludzie interesu. Byli to mniej lub więcej ideowi agitatorzy, zarówno wysłannicy wojującego komunizmu, jak i rodzimi jego wyznawcy. Zaś równorzędnie do tej akcji rozwijała się inna, z tych samych pobudek interesu płynąca, podająca publiczności, nastawionej na sensację rosyjską, odpowiednią strawę w postaci makulatury powieści, pełnych „czerwonych katów", w postaci filmów produkcji amerykańskiej, gdzie reżyser jest święcie przekonany, że zna Rosję nawylot, bo potrafi przepisowo ubrać w mundur carskiego generała.

W ten sposób pierwsze słowa o Rosji Sowieckiej wypowiedziały agitacja i sensacja. W jednostce usiłującej zachować, a raczej wyrobić niezależny sąd, rodziło się przekonanie, że bez tendencji niema ani słowa o Rosji. To przekonanie potwierdzało milczenie poważnej prasy i badaczy — historyków; milczenie to tłumaczono argumentem, że „dosyć mieliśmy Rosjan, musimy nieco o nich zapomnieć, żeby móc bezstronnie o nich mówić". Opinję tę potwier-

dział pierwszy tom pracy prof. J. Kucharzewskiego „Od białego caratu do czerwonego", wydany w 1923-im roku. Książka pozostawiła wrażenie beznadziejności, bezapelacyjnego potępienia całej przeszłości Rosji. Było to skutkiem naturalnej tradycji nienawiści do rozbiorcy i ciemiężyciela z drugiej strony. Trudno było synom zesłańców politycznych zdobyć się na objektywną ocenę zjawisk życia i kultury Rosji; trudno było po wyjściu z czerezwyczajki rosyjskiej zabrać się do spokojnego naukowego badania przemian, zachodzących w psychice narodu rosyjskiego.

Stosunki jednak powoli ulegają zmianom. Czas zaciera bolesne wspomnienia, wymierają lub usuwają się w cień żywe ofiary teroru komunistycznego, a życie z jego nieobliczalnemi komplikacjami narzuca konieczność bliższego kontaktu politycznego z Rosją. Wchodzimy w drugą fazę stosunku pod hasłem paktu o nieagresję i ożywienia stosunków sąsiedzkich. Polityka oficjalna rozbrzmiewa obustronnie głosami uznania, następują wizyty, rewizyty i t. d. Jednocześnie w społeczeństwie wzbiera nowa, o innej nieco postaci, fala zainteresowania. Wychodzą z mody „czerwone" powieści i filmy, ich miejsce zajmują barwne reportarze prasowe, podające mniej lub więcej autentyczne wrażenia, oceniające w różny sposób współczesne życie Rosji, wynik pierwszej piatiletki i t. d. Obok tego zjawiają się masowo tłumaczenia prac obcych (jak Knickerbocker'a o handlu rosyjskim), wreszcie tłumaczenia autentycznych powieściopisarzy a nawet poetów bolszewickich. Cały ten, względnie bogaty zasób wiadomości mało się przyczynił do wyjaśnienia zagadnienia, które nadal pozostaje otwarte. To wszystko, co wiemy o Rosji, nie daje nam odpowiedzi na pytanie zasadnicze. Nie chodzi o to, czem będziemy handlowali z Rosją w danej chwili, nie chodzi nawet o ten lub inny zwrot w polityce — chodzi o sprawę większej wagi — czy Rosja dzisiejsza jest dla nas niespodzianką, olbrzymim znakiem zapytania i czy takim znakiem pozostanie.

Czerwony Plac w Moskwie.



Odpowiedź, tak samo zasadnicza, jak pytanie, leży, zdaje się, w innej płaszczyźnie. Wszystko, co wiemy i co mówimy o Rosji dzisiejszej, opiera się na fałszywem założeniu. Tem założeniem, głoszonem w postaci dogmatu przez bolszewików, a uznawanem mniej lub więcej świadomie u nas — jest przekonanie, że Rosja dzisiejsza jest czemś nowopowstałem, czemś, co nie ma żadnego związku z przeszłością.

W przekonaniu nawet inteligentnego Rosjanina — bolszewika istnieje nowy świat, stworzony przez Lenina i jego naukę, a w tym świecie żyje nowy człowiek, dla którego nic nie znaczy tradycja i dziedziczność, którego nic oprócz pogardy i nienawiści nie łączy ze świeżo zmarłą przeszłością. Z niesamowitym rozmachem przekreślono to wszystko, co gromadziły wieki życia rosyjskiego.

Tego rodzaju ustosunkowanie się do przeszłości nie jest przywilejem bolszewików. Na większą skalę robią oni to, co kilkakrotnie już w dziejach Rosji robili jej władcy — carowie. Nienajgorszy przecież rozmach w przekreśleniu przeszłości miał Piotr Wielki, gdy chciał gwałtem przerobić ociężałych i brodatych bojarów moskiewskich na fircykowatych i wykształconych zachodnioeuropejczyków, gdy nakazał pobór wojskowy do szkół i t. d. Dopóki żył Piotr i czynna była jego słynna „dubinuszka", istniała karykatura reform — po śmierci Piotra rozpoczęły się „saturnalja despotyzmu". Niedługo potem, za Aleksandra I, nastąpił okres, rokujący również nadzieje gruntownego zerwania z przeszłością. Jednym skokiem Rosja miała ominąć okres Odrodzenia i przejść do nowoczesności. Próbowano zbudować olbrzymi gmach oświaty i nadać oświeconemu ludowi prawa wolnościowe. I tym razem ciężar przeszłości przygniótł liberalizm cara, zgasił piękne meteory ducha, zapalające się na bezbrzeżnem niebie Rosji. Przyszła w rezultacie ponura „noc mikołajewska".

Tak w dziejach tego narodu objawia się raz poraz prawda, że teraźniejszość i przyszłość są nieodłącznie związane z przeszłością.

Rosja dzisiejsza nie jest więc dziełem Lenina i Stalina — tylko jest rezultatem długiego procesu historycznego, zależnego od bardzo wielu czynników, których szukać wypadałoby jeszcze w średniowiecznej Moskwie. To jest zasadnicze stanowisko w odniesieniu do rzeczywistości dzisiejszej — przeświadczenie o ciągłości ruchu dziejowego, tego, co historycy określają mianem genetyzmu ujęcia.

Tak, jak pracujemy nad własną przeszłością oczyszczając historję od sugestyj, narzuconych przez rozbiorców, wypełniając luki brakujących źródeł — tak samo musimy pracować nad historją naszych sąsiadów, a więc i Rosji, historją, której hasłem nie będzie nasz subjektywny stosunek do nich, ani też utylitaryzm polityczny, — lecz dostępna dla ludzkiego umysłu objektywna prawda. Ta prawda przeszłości da nam jedyny klucz do zrozumienia dzisiejszej rzeczywistości.

ŚWIĘTO 4-GO PUŁKU UŁANÓW ZANIEMEŃSKICH

Poczet sztandarowy pułku.



W dniu 9 lipca r. b. Pułk 4-ty Ułanów Zaniemeńskich obchodził w Wilnie XV-o lecie swego istnienia.

Już w styczniu 1919 r. pułk walczył pod Lwowem, a w wyprawie Wileńskiej brał udział w zdobyciu dworca. Najbardziej zaś wsławił się pułk 9/VII—1920 r. kiedy to pod Hrebionką, w czasie odwrotu z pod Berezyny, rozbił w zwycięskiej szarży 3 pułki piechoty bolszewickiej, zdobywając ich sztandary.

Z okazji XV-o lecia licznie zjechali się b. ochotnicy i oficerowie. Ci ostatni ofiarowali pułkowi artystycznie wykonaną przez Kossaka „Szarżę pod Hrebionką". Szwadron Kujawski wręczył pułkowi fanfary, p. Sułowski, jeden z pierwszych organizatorów pułku, 2 basy, a ppor. rez. T. Ender — kornety.

Pułk, którym dowodzi obecnie pułk. Schweitzer, z radością witał swych dawnych oficerów i żołnierzy.

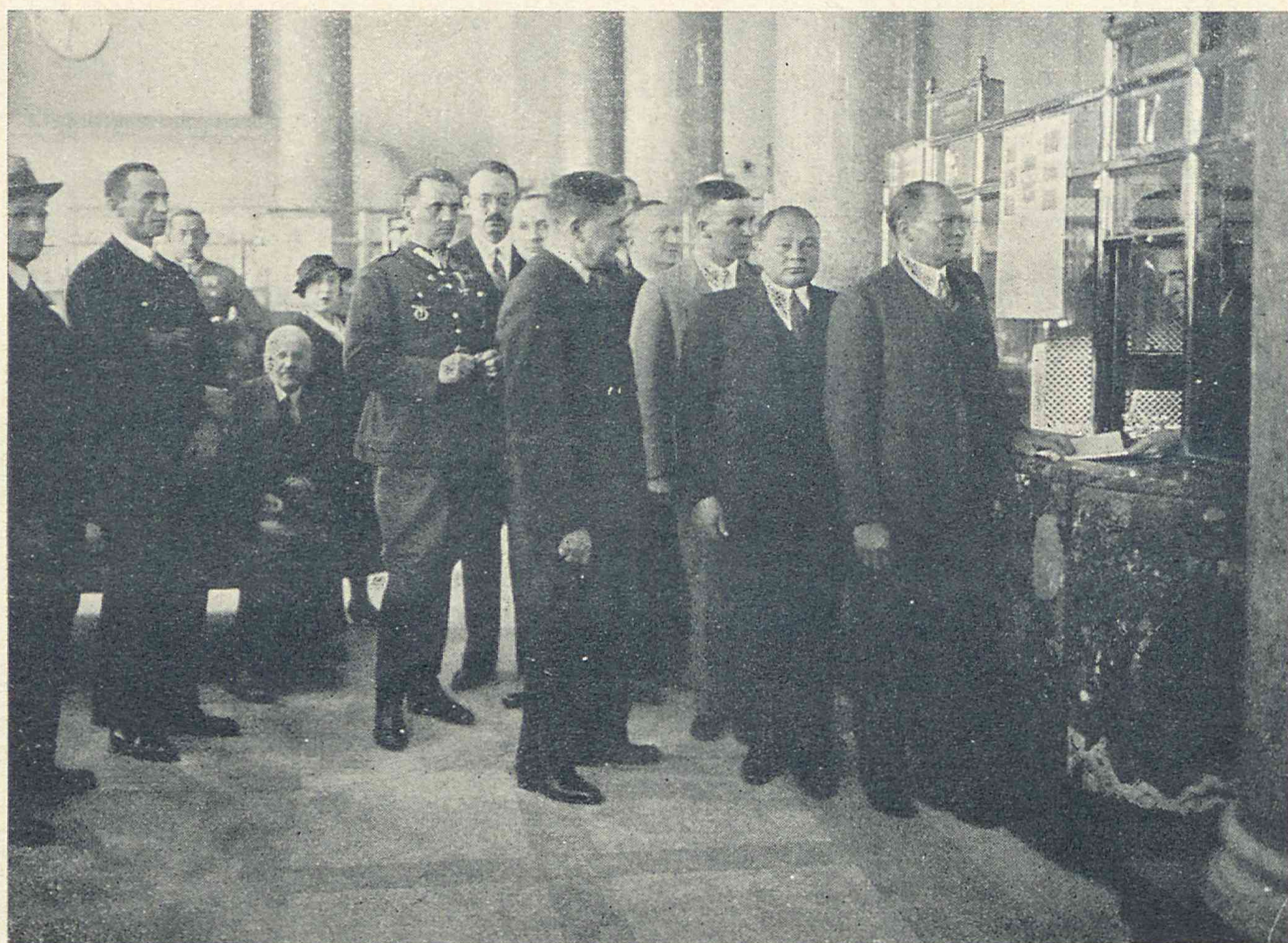
Fot. Pełczyński

Prez. Sułowski, wręcza bas pułk. dypl. L. Schweitzerowi.



TYDZIEŃ ŚWIATA

ADAMOWICZE W P. K. O.



Najpopularniejsi w tej chwili ludzie w Polsce — bracia Adamowicze, bohaterscy zwycięscy Atlantyku — złożyli wizytę w najpopularniejszej instytucji oszczędnościowej w kraju: P. K. O. Udali się tam prywatnie, aby założyć sobie książeczkę oszczędnościową. Zasada ich życia—skrupulatna oszczędność przy wytężonej pracy — nie zmieniła się nawet w chwili największego tryumfu. Podkreślił to w swem przemówieniu prezes P. K. O. dr. Gruber, przyjmując w swym gabinecie miłych gości z za Oceanu, którzy z wielkiem zainteresowaniem zwiedzili cały imponujący gmach P.K.O. od podziemi do najwyższych pięter, podejmowani na zakończenie śniadaniem w stołowni urzędników P. K. O.

Listy bohaterów

(rz) Kontrtorpedowiec japoński „Tomodzuru" wskutek wadliwości konstrukcji w czasie burzy wywrócił się. Pod pokładem zostało uwięzionych 70 ludzi. Agonja tych ludzi była powolna, ostatnie godziny ich życia musiały być straszne. Wiedzieli, że niema dla nich ratunku. Powoli tracili siły, przytomność, życie...

Normalną rzeczą instynktu byłoby, żeby ich ogarniała rozpacz...

Przeczytajmy jednak ich ostatnie słowa wyryte na ścianach kabin, lub na wewnętrznych przedziałach poszczególnych części okrętu.

Malują one wewnętrzny stan ducha ginących.

Marynarz pierwszej klasy „Tanakra - Takeo" „wyrył" swój list na ścianie kajuty narzędziami do sondowania: „Okręt nagle pochylił się ku przodowi i wywrócił się. Zrobiłem wszystko co mogłem aby zwalczyć zalew wody. Niechaj nasz Cesarz żyje 10000 lat! Godzina 6.40 rano Tanakra - Takeo marynarz pierwszej klasy".

Inny marynarz podoficer pisze: „Inui — zniknie wraz ze swym okrętem, który się wywrócił o godzinie 4 m. 30. Walczyłem jak mogłem, aby zlokalizować zalew. Najpierw, w pierwszym przedziale, później w drugim... ale woda górowała nad nami szybkością. Nadeszła chwila by umrzeć za cesarstwo..." Na innej ścianie młody ojciec Hagihara pisze: „Myśl moja zwraca się ku memu dziecku... ale wszyscy umieramy z radością — godz. 5 m. 30". Inny pisze do swej matki: „O matko najdroższa, możesz być spokojna, bo syn twój, syn samuraja japońskiego, Izigenobu uczynił wszystko co było w jego mocy do zdziałania dla...

Tak w tym jak i w następnym liście śmierć zakończyła przerwane zdanie. W liście swym marynarz Watanabe pisał: „Półtorej godziny już przeszło od katastrofy, a dotąd nie zauważyliśmy najmniejszych oznak niesionej nam pomocy. Wszyscy są tutaj bardzo spokojni. Nasze życie jest poświęcone Cesarzowi i krajowi, jesteśmy gotowi..."

I jeszcze jeden — ten, który nie zdążył się podpisać, bo woda obezwładniła dłoń, co ryła listy na ścianie. „Zrobiłem co do mnie należało. Nie pozostaje mi nic więcej jak modlić się za powodzenie narodu".

Ten list bezimienny jest jakby symbolem tych ludzi, syntezą ich myśli i bohaterstwa. Giną, giną powolnie. Toną lub duszą się w ścianach swych kajut, w przedziałach maszyn i myśl każdego z nich, ostatnia myśl przytomna modli się za chwałę i powodzenie narodu!

Entuzjazm, bohaterstwo, ofiara — oto czynniki tego najwyższego gatunku patrjotyzmu. Patrjotyzmu płynącego z tak głębokich, świadomych wartości, że nawet w męce konania nic go zamącić nie zdołało.

Naród wychowujący i posiadający takich partjotów wśród mas jest istotnie krajem Wschodzącego Słońca.

Skasowany podatek

(l) Po przeprowadzeniu licznych oszczędnościowych „uzdrowień" budżetowych rząd p. Doumergue'a, zastosował skasowanie jednego z podatków—którego zniknięcie prasa francuska przyjęła ze specjalnym aplauzem.

Skasowano t. zw. „taxe de luxe" — podatek rzekomego luksusu. W okresie gdy nawet w bogatej Francji „luksus" znikł—podobne podatki są właściwie popieraniem tandety. Zniesiono również podatek od widowisk teatralnych. „Czas był już na to — pisze „Candide" — teatry doszły już do stanu agonji". A dalej tenże tygodnik dodaje: „Jeżeli zastosowano ulgi w podatku od dochodu, to nie przez miłosierdzie dla podatnika. Spostrzeżono nareszcie, że dochody topnieją i że „materja do opodatkowania" poprostu zanikała. Zaległość około 2-ch miljardów nie będzie mogła być nigdy pokryta, a poborcy osłabli już od zajmowania pianin i fortepianów, salonów Ludwika XVI, stołowych pokoi Henryka II, które nie tracą na pięknie, ale są nie do sprzedania".

Zwolnienie więc od opłat — za elegancję, dobre ubrania, „luksus" urzędy podatkowe Francji uznały za środek do powiększenia konsumcji, obrotu, dobrobytu—a więc i lepszej wypłacalności podatników. Nie z dobrego serca, lecz z prostej fiskalnej kalkulacji skasowano podatek... który się nie opłacał.

Historyjki sezonowe

(x) Pewnego warjata sprowadzono do przytułku dla obłąkanych.

Klijent był spokojny — więc po zbadaniu go doktorzy pozwolili mu chodzić po zakładzie i ogrodzie. Badając nowe miejsce chory dotarł do ogrodu owocowego, gdzie przy rzędach malin zastał pilnie pracującego ogrodnika.

— Co pan tu robi? — zapytał przybyły.

— Oporządzam maliny — odparł ogrodnik.

— A czego pan używa do swych malin? — pytał dalej chory.

— Nawozu.

Chory zadumał się głęboko — a po chwili wyszeptał skonfundowany sam do siebie: „Ja używam cukru, ale to dlatego widocznie, że jestem warjatem".

Spiski Hitlerowców w Ameryce

(—) Starania niemieckie o zdobywanie opinji i sympatji w Ameryce znane są oddawna. Propaganda niemiecka za Atlantykiem działa dawno i skutecznie.

Przed wojną starano się utrzymać Stany w neutralności, podczas wojny, w czasie rokowań wersalskich — kalumnje, sabotaże, prasa, przemysłowcy, trusty, emigranci niemieccy — to były stałe atuty interesów niemieckich za Wielką Wodą.

W ostatnich latach—nie od dziś — podobna gra się toczy. W agitacji tej organizacją i bezczelnością przodują dziś nazisy. Ale czy dziś są to heilwrzaskuny, czy wczoraj były pappenlizusy, czy jutro będą szturmkruppy — cel jest zawsze jeden: przechylić opinję Ameryki na stronę Niemiec, z przymiotnikiem, czy bez przymiotnika.

Prawie od 20-u miesięcy propaganda hitlerowska w Ameryce prowadzona jest z rekordową ambicją — pracę tę uwieńczył ostatnio niebylejaki „wyczyn". Oto w New-York'u odbył się wielki mityng nazisów, w centrum miasta w parku Madison Square. Więcej niż 20.000 nazisów w hełmach, długich butach, wyekwipowanych od stóp do głów zebrało się wysłuchać mów płomiennych, heilować impertynencko i stwierdzać swą liczbą osiągnięte znaczenie swej organizacji. Z wielu okien zwieszały się konwulsyjne krzyże hitlerowskich swastyk i wielu obywateli amerykańskich ze zdumieniem pewnem dostrzegło, że w ich domu hitlerowcy wcale potężne rozniecili ognisko.

Ta impertynencja miała i swoją dobrą stronę, gdyż Izba 168 głosami przeciw 31 uchwaliła wniosek Diksona, domagający się przeprowadzenia ankiety w sprawie propagandy hitlerowskiej.

Ankieta ta już obecnie odsłoniła wiele ciekawych faktów. Ustalono, że propaganda hitlerowska prowadzona jest oddawna, jeszcze nim Führer doszedł do władzy. Datują się jej początki od roku 1924. Jawnie ukazywać się zaczęła w roku 1926 — a otwarcie poszła na całego od 1932. Prowadzona jest z wielką wprawą, znajomością środowiska, operuje różnemi środkami. Na czele jej jako organizator stoi Ernest Hanfstaengl — syn amerykanki i niemca. Po wojnie wrócił on do Niemiec — zaprzyjaźnił się z Hitlerem. W początkach ruchu Hitler mieszkał w jego willi na południu Niemiec i Hanfstaengl łożył na pierwsze potrzeby partji. Po powrocie do Ameryki pracował on, aby zagarnąć pod swój wpływ wszystkie organizacje i towarzystwa niemiecko - amerykańskie. Jako pierwsza „komórka" zdobyta posłużył mu Teutonie - Club w Chicago. Liczni współpracownicy i agenci hitleryzmu przeniknęli do innych organizacji — oficerowie rezerwy do stowarzyszeń sportowych, kupcy do handlowych, inżynierowie do zawodowych—robota sumienna, precyzyjna, konspiracyjna obecnie wydała już rezultaty.

Pod wodzą Hanfstaengl'a pracują wydajnie jako kierownicy działów Karl Specht, Paul Themlitz, Hans Winterhalder, Hermann Schivinn, a ostatnio Herbert Schmud, Ulrich, Staak, Walter Kappe współpracownik Chicago Daily News, Fritz Gissibl, Heinz Spanknoebel z Detroit. Wszyscy oni pracują z zapałem i z dużemi środkami, pracują dla Hitlera — pracują jednak przedewszystkiem dla Niemiec nacjonalistycznych. Wzrost ich wpływów w organizacjach niemiecko - amerykańskich, w Ameryce to wzrost wpływu tez niemieckiej polityki na drugiej półkuli.

„Heil" w szpitalu

(x) Jeszcze przed koleżeńskim samosądem rządu Hitlera i Goeringa — dwaj władcy Niemiec mieli zwiedzić wzorowy zakład dla umysłowo chorych. Uprzedzony o tem lekarz naczelny przez kilka dni gromadził najspokojniejszych chorych, ustawiał ich w szeregi, uczył wznosić prawicę i wołać „Heil Hitler"!

Wreszcie nadszedł dzień uroczysty. Przybyłego kanclerza chorzy powitali wzorowo. Tylko jeden z nich milczał, nie wznosząc prawicy i uśmiechając się ironicznie. Zdziwiony lekarz, wiedząc, że to był najspokojniejszy pupil, zapytał go szeptem: „czemu nie wznosi pan okrzyku"—„Panie doktorze — odparł również tajemniczo chory — przecież *ja* nie jestem warjatem".

Teatr Wachtangowa w Warszawie

Bawiący obecnie w Warszawie reżyser moskiewskiego teatru Wachtangowa, Mironow, miał liczne kontakty i konferencje z naszym światem teatralnym i prasą.

Pan Mironow zaznaczał, że przyjazd jego ma na celu zarówno propagowanie festiwalu teatralnego w Moskwie, który odbędzie się w pierwszej dekadzie września r. b., jak i przeprowadzenie rozmów związanych z przyjazdem w przyszłym sezonie teatralnym teatru Wachtangowa do Warszawy. Równocześnie w Moskwie ma się odbyć kilka przedstawień T. K. K. T. Co do terminu tych przedstawień toczą się rokowania między p. Mironowem i dyr. Szyfmanem.

Jadąc za miasto—nie zapomnij nabyć dzienników i czasopism

Matową i delikatną cerę zachowuję się przez cały dzień dzięki stosowaniu nowego Pudru Simon o subtelnym zapachu. Przylega on doskonale, nie drażni nigdy skóry. Jest drobny i chemicznie czysty. Nie ma Pani wyboru: trzeba stosować





Z kursu grafiki ś.p. prof. Skoczylasa

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

WYSTAWA AKADEMJI

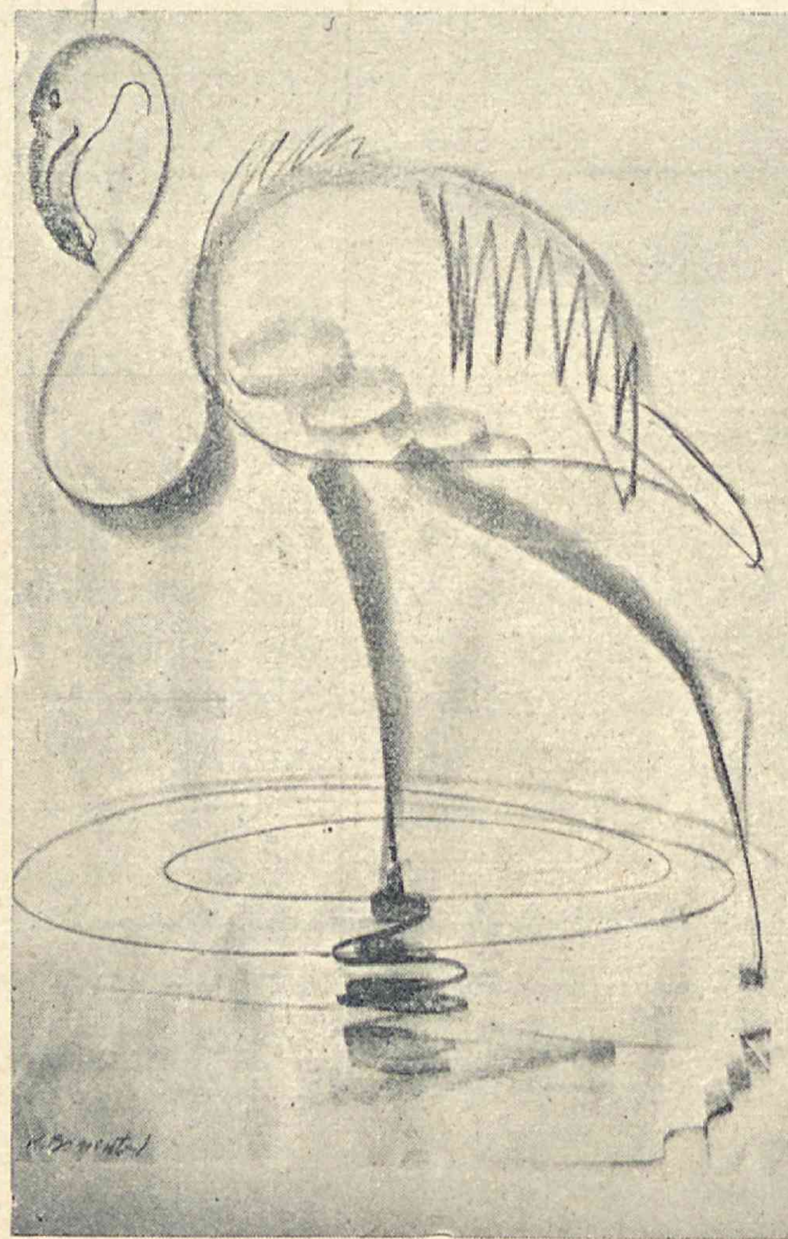
Z żadnej właściwie wystawy nie pisze się recenzji „z lekkiem sercem" — ale już chyba z sercem najcięższem przystępuje się do sprawozdań z wystaw szkolnych. Każdy eksponat na takim pokazie dorocznym — to przecież wypadkowa tylu wysiłków, że trudno nawet orzec, kto za nią ponosi odpowiedzialność i kto podlega krytyce: czy szkoła jako całość, czy panujące w danej chwili prądy w sztuce, czy profesor danego działu, czy wreszcie bezpośredni „sprawca" — t. j. autor?

Pracę sprawozdawcy utrudnia pozatem czynnik inny: stale niemal na wystawach szkolnych panujące przeładowanie eksponatami. Tej kardynalnej wady nie uniknęła doroczna wystawa Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie. (A że uniknąć jej można — tego dowodem niedawna wystawa Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych, gdzie dla *jakości* poświęcono *ilość*, co dla poziomu każdej wystawy jest założeniem najodpowiedniejszem).

* * *

W Warszawskiej Akademji widz ma od pierwszej chwili wrażenie powodzi — i wrażenie to potęguje się w miarę oglądania wystawy, aż do przemożnej chęci ucieczki po paru godzinach zwiedzania. Powódź ta tembardziej jest męcząca, że w znacznej większości składa się *z obrazów olejnych*, których wartość artystyczną postawić można pod dużym znakiem zapytania. „A cóż ma wystawiać Akademja, jeśli nie obrazy olejne?" — zapyta zapewne zdziwiony tą pretensją czytelnik.

Otóż właśnie. Dzisiaj mocno już podupadła racja przygotowywania setek średnio zdolnych i średnio wyuczonych malarzy, „robiących w sztuce czystej" — jak się to kiedyś mawiało. Malarstwo stalugowe — poza portretem i malarstwem religijnem—traci coraz bardziej grunt pod nogami. Obrazów ludzie nie kupują nie dlatego że panuje kryzys ekonomiczny, ale dlatego, że epoka nasza w swem dążeniu do uproszczeń przekreśliła wartość



Z kursu malarstwa prof. M. Kotarbińskiego.

dekoracyjną obrazu w nowoczesnem wnętrzu.

Większość adeptów sztuki należałoby kierować ku sztuce zdobniczej, ku meblarstwu, dekoracji teatralnej, kostjumerstwu, ku grafice użytkowej, ku dekoracji witryn sklepowych i lokali handlowych, wreszcie ku malarstwu freskowemu — bo są to dziedziny, w których odczuwa się stale zapotrzebowanie sił twórczych. Tylko najwybitniejsze talenty należałoby dopuszczać do studjów czysto malarskich — i ta selekcja stanowićby powinna jedno z zasadniczych zadań profesorów Akademji.

Ogólnie biorąc, wystawa tegoroczna w Akademji potwierdza w całej pełni wyrażone powyżej postulaty. Klasy malarstwa „czystego" stoją bez porównania niżej od innych działów uprawianych w Akademji. Zato kursy sztuk „niższych" dowodzą swej żywotności, pracy pełnej zapału i nierzadko ujawniają poważne talenty.

W dziale grafiki znajdujemy szereg rzeczy bardzo ciekawych. Kurs nieodżałowanego prof. Skoczylasa nosi jeszcze w tym roku cechy jego wielkiego kunsztu pedagogicznego. Kilku młodych artystów w tej sali daje już rzeczy zupełnie skończone. Rozumna praca i kilka mocnych talentów — oto wrażenie z tego kursu.

Grafika użytkowa prof. Bartłomiejczyka wystawia plakaty i druki odznaczające się pomysłowością, świeżością i dobrym rysunkiem. W tejże sali wystawia swe „prace dyplomowe" Stanisław Chrostowski: są to drzeworyty od czterech lat nagradzane na wystawach zagranicznych. Nie każdy z wychowanków Akademji przynieść jej może aż taki plon laurów.

Na innem piętrze wystawione kompozycje wystaw okiennych pochodzą zdaje się również z kursu prof. Bartłomiejczyka. Były tam rzeczy doskonałe. Zwłaszcza jedna witryna sklepu z owocami — ponętna i barwna, jak najpiękniejsza martwa natura. Czyż nie lepiej dać możność młodym artystom zastosowania poczucia koloru i zdolno-

Z pracowni technik metalowych prof. M. Kotarbińskiego.



SZTUK PIĘKNYCH

ści kompozycyjnych chociażby w takiej „żywej martwej naturze"— zamiast pozwalać im smarować na płótnie „martwe natury" zupełnie już rzeczywiście martwe i niewskrzeszalne?

Rzeźba naogół przedstawia się imponująco.

Klasa prof. Breyera jest dowodem wielkiej pracy i umiejętności fachowej, jakiej w swem kierownictwie profesor nie szczędzi słuchaczom. Uczniowie Breyera umieją rzeźbić. Tam każdy akt stoi, każdy człowiek zbudowany jest z doskonałą znajomością rzemiosła. Każda głowa wystudjowana sumiennie, każde zwierzę podpatrzone w ruchu i w charakterze bryły. Profesor tępi ignorancję—to też na tym kursie niema blagi. Że młodzi rzeźbiarze przejmują się trochę — a nawet czasem bardzo — technicznym sposobem ujęcia swego mistrza, to jeszcze nie jest zabójcze. Wyjdą z Akademji z tak solidnemi podstawami wiedzy, że wkrótce każdy z nich znajdzie swój wyraz w sztuce, o ile na własny wyraz go stać.

Doskonałe, celowe zastosowanie rzeźby do architektury — jedno z zadań naczelnych w sztuce dzisiejszej — daje kurs rzeźby monumentalnej prof. Pniewskiego. Nagość racjonalistycznych brył nowoczesnego gmachu ożywiają świetnie w konstrukcję wpuszczone, funkcjonalnie z nią zrośnięte, lekko zaznaczone powierzchnie rzeźbione.

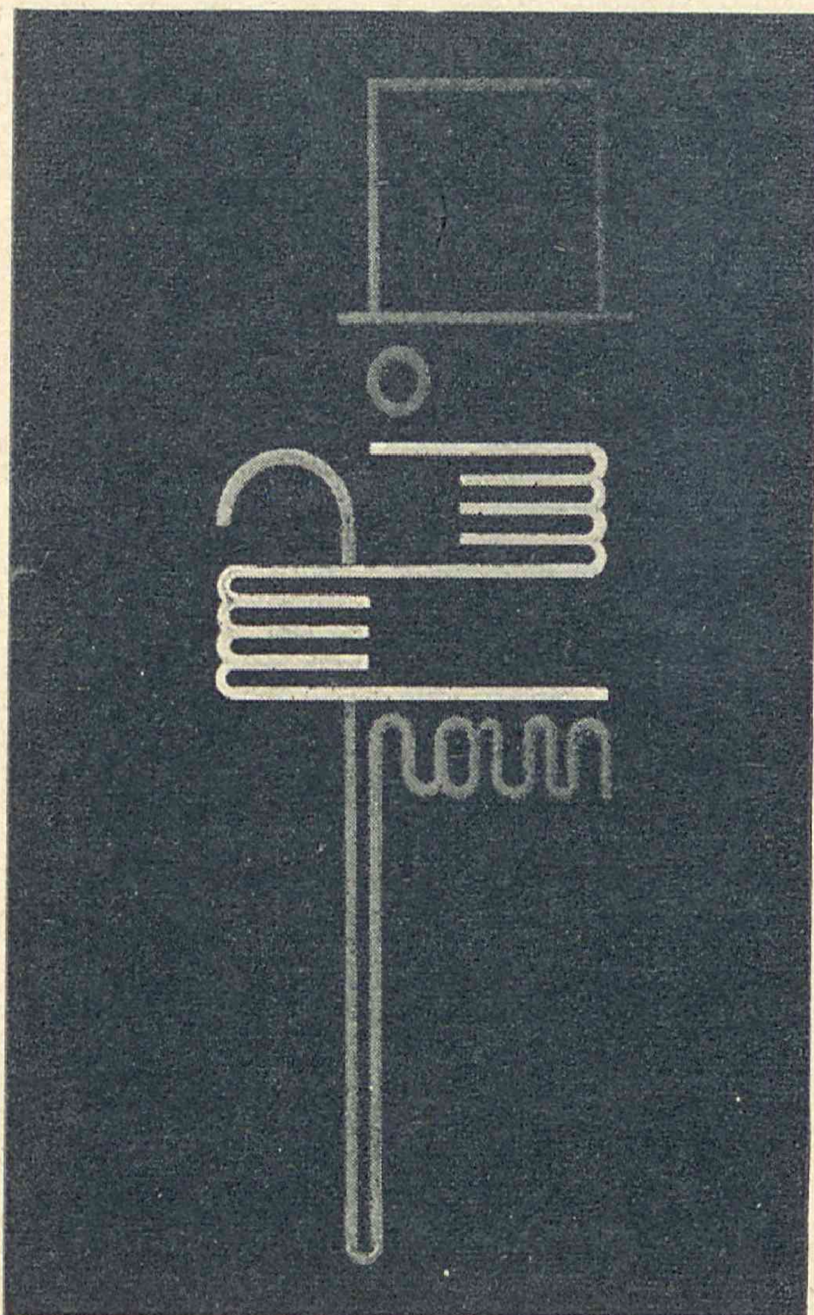
Z kursu rzeźby prof. Breyera



Pracownia technik metalowych prof. Kotarbińskiego wystawia obok estetycznych przedmiotów użytkowych głowy tłoczone w blasze metalowej, z których jedna, rzecz mocnego talentu, zakupiona została przez nasze M. S. Z.

Pracownia tkanin prof. Kintopa pokazała mnóstwo makat zupełnie nieprzeciętnej piękności.

Pracownie prof. Jastrzębowskiego obejmują eksponaty z wielu działów sztuki zdobniczej, poczynając od meblarstwa, gdzie zwracały uwagę zdjęcia całych urządzeń wnętrz, — aż do doskonałych charakterystycznych lalek, w których wypowiedziało się zarówno poczucie linji, jak dowcipne ujęcie groteskowych cech danej postaci.



Z kursu grafiki użytkowej prof. Czajkowskiego.

Kurs prof. Czajkowskiego miał jako temat „urządzenie wnętrza pokoju studenckiego"—a niektóre projekty były tak czarujące, że miało się ochotę natychmiast w tych minjaturowych lokalach zamieszkać.

Na kursie malarstwa pracowni prof. Kotarbińskiego zwracają uwagę rysunki zwierząt, mające lekkość i płynność linji, jakie cechują sztukę japońską. Naogół na kursie znać przemyślany kierunek profesora i usilną pracę uczniów. Inne pracownie malarskie (prof. Kowarskiego, prof. Tichego, prof. Pruszkowskiego) — zyskałyby znacznie, zwłaszcza ta ostatnia, na surowszej selekcji prac przed wystawą.



Z kursu grafiki ś. p. prof. Skoczylasa.

Zdjęcia E. Koch

Najbardziej może mija się z założeniem pracownia malarstwa ściennego prof. Pękalskiego. W jakim celu techniką freskową na ścianie każe się uczniom malować zwykłe realistyczne obrazy?

Uderza na tym kursie zupełne pominięcie trudności rozwiązań kompozycyjnych, które stanowią podstawę malarstwa freskowego. Puste, obojętne przestrzenie, figury nieujęte w żaden rytm, naturalizm z malarstwa stalugowego żywcem przeniesiony na ścianę —oto szereg nieporozumień, z któremi spotykamy się w większości wystawionych prac tego kursu. Parę kompozycji na sgrafitto, zwłaszcza cykl przedstawiający życie i zajęcia wiejskie, wyróżnia się sensownem ujęciem i rytmicznem rozplanowaniem.

Ogrom materjału, zebrany na wystawie Akademji Sztuk Pięknych, nie pozwala na dokładne omówienie ani dzieł, ani nawet poszczególnych pracowni. Notujemy tu tylko ogólne wrażenia, wyrażając nadzieję, że w roku przyszłym ilość eksponatów zostanie wydatnie zmniejszona. Nie chcąc nikogo mimowolnem milczeniem skrzywdzić, rozmyślnie nie wymieniam nazwisk tych uczniów, którzy wydają się najbardziej „obiecujący". Jeśli, stanąwszy o własnych siłach w sztuce, znajdą w niej swój wyraz— nie minie ich przecież w swoim czasie ani krytyka ani uznanie.

STEFANJA JANKOWSKA

WRAŻENIA

IV

Marakesz

Marakesz — Ogrody Menara

Podczas, gdy na miedzianej tacy dania się zmieniają, gitary, skrzypce, tamburyny grają dyskretnie melodje Andaluzji lub ostatnie nowości Kairu. Ton instrumentów ubogi, ale wtórujące im głosy o barwie, głębi i lekkości przedziwnej. Księżyc skośnemi promieniami zagląda i zdaje się medytować jak możliwem jest, by tyle czaru, wyrafinowania, uprzejmości pokrywało potoki nienawiści, fałszu, krwi przelanej?! Nie ma się też zawsze uczucia zupełnego bezpieczeństwa pijąc na wspaniałem z Tysiąca i Jednej Nocy przyjęciu szampana najlepszej marki, najdoskonalszego roku. Ciepło dźwięków muzyki egipskich grajków, letnie powietrze, niosące z ogrodów wonie kwiatu pomarańczowego, róż, magnolji, — nie usposabia tu do cichego marzenia, szczególnie, gdy się jest kobietą i czuje się posuwający — począwszy od ramion — po atłasie sukni, wzrok, — który ma całą płomienność i grozę powoli pełzającej, roztopionej lawy, zaś gardlany głos, tłustej, harczącej dźwiękowości arabskiej darząc najbardziej wersalskim komplementem — zaprzecza jednocześnie gamą swą — treści i rozsuwa podwoje wysokich, głuchych ścian, za któremi czuje się tragedję może beztroską, a tem straszniejszą setek... żon, o których życiu i śmierci stanowi jedno skinienie tego wspaniałego, niesłychanie wytwornego, ubranego z najwyszukańszym, choć pełnym umiaru gustem, władcy — noszącego jedynie tkaniny dziane rękami jego kobiet Ile wyroków śmierci podpisały te ręce idealnie rasowe, dające złudzenie nerwowości kobiecej, gdy, mną białe muśliny otaczające oliwkową, piękną twarz? Lśnią w niej ogromne, ciemne oczy, a uśmiech zdaje się przeciwstawiać wyrazowi nie do przeniknięcia, nie zdradzającemu najmniejszego uczucia, mogącego otworzyć tajemnicę duszy.

Marakesz — Medersa „Ben Youssef"

* * *

Po przez wieki Marakesz był rozgrabiany, palony, niszczony waśniami Władców Atlasu. Francuzi ten stan rzeczy radykalnie zmienili, zaprowadzili ład i spokój. Nie odebrali jednak feodalnym panom kraju ich olbrzymiego prestiżu. Przeciwnie ze zwykłą sobie praktyczną umiejętnością posługują się nim, opierając na nim swą władzę — i utrzymując w ten sposób porządek na olbrzymich przestrzeniach Południa, gdzie prawie wojsk nie posiadają.

* * *

Gdy mieszkaniec Fezu, Rabatu czy Meknes'u mówi o tych miastach, dodaje, że są one *hadria* czyli ośrodkami cywilizacji. Nie powie tego nigdy o Marakeszu, dla którego ma cichą pogardę, nie uważając go za miejsce promieniujące cywilizacją muzułmańską. Mimo to, ku rozrywce najwybredniejszego europejczyka, prócz romantyczności życia Paszów i Caïdów, o którą ma sposobność się codzień ocierać, — czarem Marakeszu jest piękno pejzażu, cudownych ogrodów pomarańczowych i oliwnych, z taflami lustrzanemi wody, w której dalekie śniegi wierzchołków Atlasu się odbijają; wszystko to owiane tajemniczym wyrazem opuszczenia.

Pomimo też, że ta druga z kolei stolica Marokka jest tak mało *hadria*, posiada ona obok wieży Kutubji pamiętającej pierwszych Almohadów, pałacu sułtanów, pałacu paszy, rezydencję Bahia i groby dynastji *Saâdin'ów*. Tyleż niezatartych wspomnień.

—Bahia! — Wdzięk, fantazja, przypadek zdały się być jej jedynymi twórcami. Dla kogo mógł być wybudowany ten piękny pałac?

Wydaje się on poezją, muzyką, tęsknotą. Dla jakiej rozkosznej kobiety stworzono taką ramę? — Otóż wszystko to datuje od wczoraj. — Trzydzieści lat temu był istotnym władcą Marokka najmniej poetyczny z ludzi Ba Ahmed, wielki wezyr. Pół negr, urodzony z żydówki i czarnego. Okrutny autokrata, odrażającej brzydoty, genjalnie mądry. On to na budowaniu i przyozdabianiu tego pałacu, życie spędził, jemu służył ten szereg podwórców marmurowych i ogrodów, wokół których otwierają się pokoje, mające urok nieziemskości, całe malowane w kwiaty, gwiazdy, arabeski. Woda się sączy po mozaikach, których kolory lśnią w jej srebrze.

Ogrody w niczem do naszych nie podobne, o alejach wyłożonych mozaiką i emalją — zaś między niemi posadzone jak skrzynie — ogromne kwadraty — pełne przedziwnej roślinności południowej, zapominającej o wszelkich regułach ładu i porządku.

— Wszystko to błyszczy, pachnie, zieleni się, kwiaty malowane i prawdziwe; umiar i rozpętanie. Naturalnie, jak po

Z MAROKKA

(dokończenie) Fot. de Mazière

wszystkich ogrodach tutaj, włóczy się cisza i samotność, przerywana jedynie majestatycznym spacerem gołębi po rozpalonych słońcem taflach wyściełających podwórca.

* * *

I oto nim czas i przestrzeń położą się między nas i bajeczny świat tego miasta — nim nam przyjdzie dalej jechać — idziemy po skupienie do grobów Saâdin'ów. Mała ta szkatułka z cedru, marmuru, gipsu, zajmuje jakże niewielką przestrzeń w tem olbrzymiem mieście z suchego błota. Trzebaby jednak aż w legendarnej poezji i Indjach szukać, by coś równie doskonałego, udałego znaleźć. Do największego tego klejnotu Marokka wstępuje się po pokrzywach i zielsku — drzwi niema. Wkracza się wprost z dworu do cudownej niewielkiej sali, w środku której na ziemi leżą trumny marmurowe.—Wokoło stoją kolumny, na których wiszą arkady i sklepienie sufitu, którego złoto i bronzy przyblakły. — Prostota najdoskonalsza, proporcje boskie przypominają największe arcydzieła sztuki greckiej albo włoskiego Odrodzenia. — A podczas gdy dusza się raduje harmonją linji, oczy oczarowane odkrywają dekorację ścienną różnorodności, bogactwa, rozmachu, nie do opowiedzenia. W sali tej i następnych mniej dobrze zakonserwowanych, choć bardzo pięknych — położone są wszędzie, jak odwrócone łodzie, trumny rzeźbione, zasypane napisami malowniczymi. Trumny ogromne—dla olbrzymów, i małe zupełnie — dla nowonarodzonych.

Oto ostatnia siedziba książąt dynastji Saâdin—którzy trzysta lat temu żyli w zburzonym dziś pałacu El Bedi. — Jeśli wierzyć starym dokumentom, pierwszy z nich był panem prawego życia, źródłem wiedzy, autorem zbioru pacierzy na cześć Proroka. Drugi wojownikiem, — który przepędził portugalczyków. Trzeci zmasakrowany wraz z dziećmi, synkiem i córeczką przez Caïda Marrakechu. Czwarty zamordowany przez Turków. Piąty wbrew Pismu zajmował się alchemją; został otruty. Szósty Almed El Mansur o przydomku „złocony“, duma dynastji Saâdin'ów, otruty figą—kwiatem, przez jedno ze swych dzieci za namową niewolnicy. Syn jego Książę Zidan zmarł cichą śmiercią na swem łożu!! Ósmy, ku zgrozie ogólnej zawsze w pijaństwie żyjący — zamordowany przez swą straż renegatów chrześcijan. Dziewiąty wielki amator muzyki, zamordowany w takiż sposób. Dziesiąty, zapominający o swych sułtańskich obowiązkach w ramionach pięknej kobiety pod drzewami ogrodów El Bedi, zginął tajemniczą śmiercią i wreszcie ostatni książę tej tragicznej rodziny zdradliwie uśmiercony przez swych wujów.



Marakesz — Czarodziej na placu Djema el Fua.

— Straszliwa, tylekroć krwawa historja nigdzie tu nie jest wspomniana. W tej cudownie, rozkosznie ukwieconej kaplicy wszystko jest wdziękiem, spokojem, absolutną harmonją. Napisy konwencjonalnie poetyczne i pochwalne nie zdradzają ani słowem tych piekielnych, bratobójczych walk, których Marrakech był widownią. Jeśli im wierzyć, nie byli to książęta gwałtowni, brutalni, namiętni, pożerani żądzą panowania, często okrutni sadyści— ale pobożni, nieszczęśliwi kochankowie, pełni słodkiej poezji.

By się znaleźć wobec grobowca godnego okrutnego bezmiaru Sahary i tego jej miasta trzeba o kilkaset metrów dalej stanąć pod murem z błota i spojrzeć poprzez szpary kiepskich desek nędznych podwoi.

Ujrzy się wtedy w cieniu drzewa brzoskwiniowego, pagórek niewielu cegieł źle ułożonych, niedbale obsypującem się wapnem pokropionych.

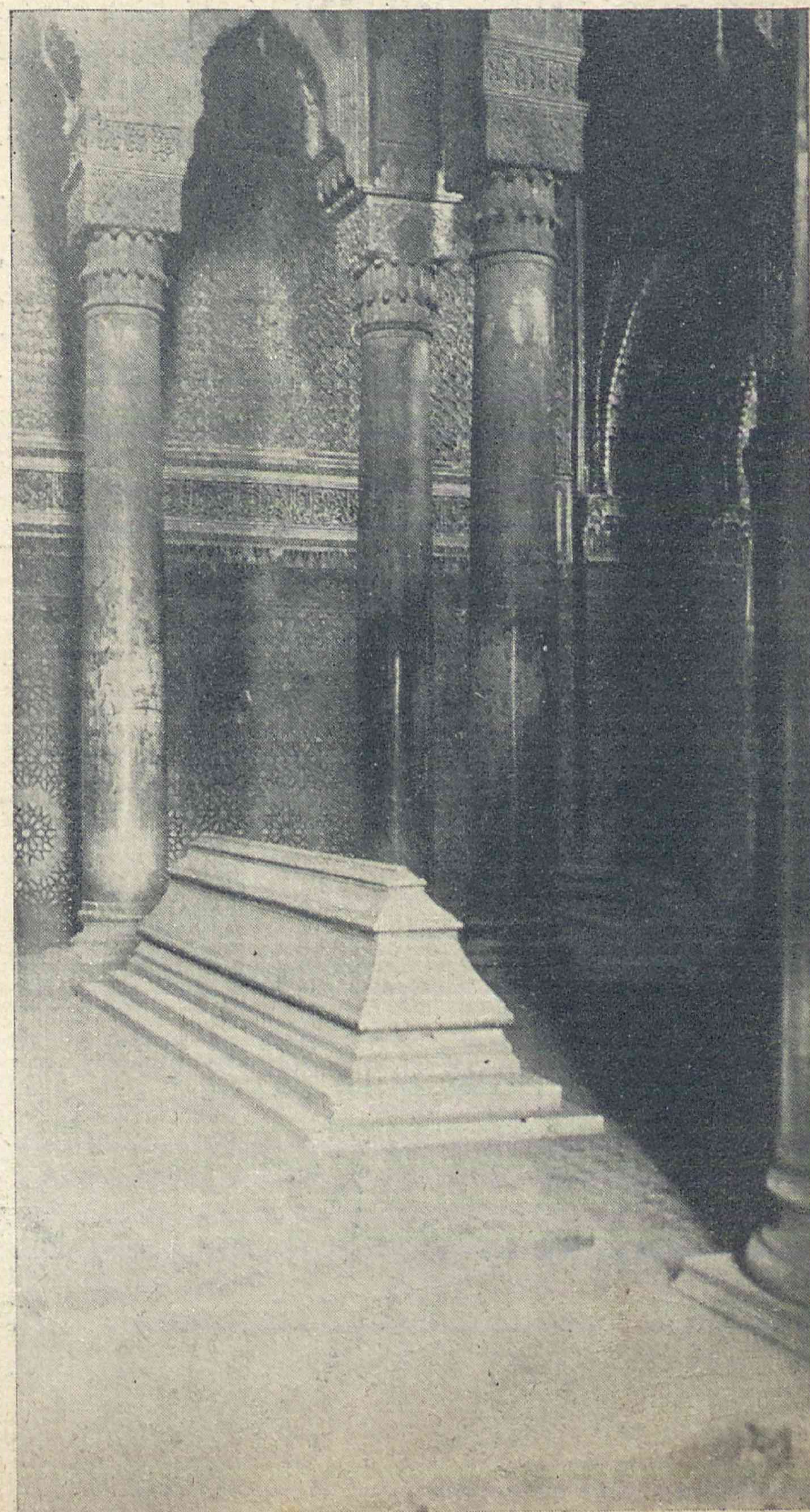
Tu śpi Joussef ben Tachefin, założyciel Marrakechu, który hordy swych nieustraszonych zawoalowanych wojowników powiódł na zdobycie Grenady i Cordoby.— Częstokroć bogobojne ręce próbowały wznieść ściany pomnika nad tą mogiłą.

Ale Youssef ben Tachefin żył namiotem i przestrzenią! Nie wiedział co znaczy cela więzienna czterech ścian. Jednem kopnięciem nogi zawsze w proch rozsypywał każde najbardziej złocone sklepienie, które go od firmamentu dzielić miało — znosząc w swym śnie jedynie dach szumiących mu liści.

SPROSTOWANIE

W poprzednim odcinku „Wrażeń z Marokka“ w num. 28-ym, wkradły się następujące omyłki zecerskie: wieża w Sewilli, *Giralda*, przez omyłkę nazwana została *„Gilalda“*. Zamist *Labau* powinno być *Laban*. Nazwisko paszy Marakeszu brzmi *El hadj Thami Glaoui*. A znane francuskie powiedzenie brzmiało oczywiście w rękopisie: *„Au jeu perdant, en amour gagnant“*.

Marakesz — Grobowce Saâdin'ów.



ŚWIĘTO HUCUŁÓW



Dolina Czeremoszu.

Fot. kpt. Kowalski



Z huculskiej ziemi.

Fot. J. Maciejewski



Widok na Czernohorę

Fot. kpt. Kowalski

Kiedy się jedzie tam z Warszawy, to wrażenie przekroczenia „siódmej rzeki i siódmej góry" nie opuszcza nas aż do chwili „wylądowania" w tym zakątku kraju, gdzie urok natury walczy o lepsze z bogactwem fantazji zamieszkującego go ludu.

Huculszczyzna! Czytelnicy nasi nie po raz pierwszy w tym roku spotkają na naszych łamach piękne widoki, buńczuczne i barwne typy, opisy ich obyczajów, wierzeń, przesądów....

Piękno kraju i ludu, wytworność i prostota jego sztuki zdobniczej, wesołość i beztroska charakterów, zdrowotność klimatu, czystość powietrza, huk potoków, urok Czeremosza, dzikość Prutu, bogactwo lasów i ubóstwo gleby — wszystko to tworzy jakąś wielobarwną symfonję tej krainy płynącej mlekiem i miodem — ale tęskniącej za chlebem...

Tegoroczne Święto Huculszczyzny — miało być niejako odkryciem tej połaci kraju przez całą Polskę. Parę tysięcy osób, które zjechały do Worochty i Żabiego ze wszystkich stron kraju, miały istotnie możność „odkrycia" tego terenu — jakby stworzonego do wypoczynku, do nabrania zapasu sił i powietrza na dalsze długie miesiące pracy w zadymionem powietrzu miejskiem.

„Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny" organizując to święto spełniło wielkie zadanie. Zbliżyło ten odległy kraj baśni do całej Polski. To było celem święta — i to dziś specjalnie podkreślamy.

Zagadnienie: jak zorganizować ekonomiczne życie Huculszczyzny — jest kwestją wielkiej wagi. Nie będziemy go dzisiaj szerzej rozwijali — mamy wrażenie, że plan który naszkicowano — i to co się robi, robi się celowo i dobrze. Ze słów wojewody Jagodzińskiego dowiedzieliśmy się, iż około *miljona dni pracy* dostarczyli huculi w tym roku swym własnym gminom. Pracowali nad doskonałą, przepiękną drogą z Worochty do Żabiego — dzięki której Żabie wogóle stało się dostępne dla szerszego ruchu turystycznego. Pracowali nad umacnianiem mostów, drożyn i dróg górskich, sypali chodniki w Worochcie, obrabiali drzewo.

Wojewoda Jagodziński, w otoczeniu grupy dziennikarzy



Sztuka huculska — charakterystyczny piec kaflowy w wiejskiej chacie.

Fot. A. Błaż, Worochta



Za miljon dni roboczych, otrzymali zapłatę przeważnie w tem, czego im najwięcej brak — w zbożu i ziarnie kukurydzy. Za swoją pracę otrzymali więc nietylko wynagrodzenie, ale i swoją własną drogę, co może być źródłem nowych dochodów, wzmożonego ruchu turystycznego.

W takiej akcji widać celowość,— bo praca i płaca zmierzają nie do czyichś zysków, lecz do rozwoju całej okolicy.

Bogata i wszechstronna huculska sztuka ludowa, wypowiadająca się przedewszystkiem w rzeźbie, w ceramice wyrobach z drzewa, w hafcie i tkaninach — od chwili, gdy drogami udostępni się do nich dotarcie turystom, staje się nietylko artystyczną potrzebą własnego stroju, ale również może być przedmiotem poważnego zarobku. Byle tylko zły gust odbiorcy nie zepsuł dotychczasowego artystycznego polotu samorodnego twórcy!

Ten najczystszej wody artyzm spotykamy również w teatrze huculskim. Huculi grają uproszczonych i nieco skróconych „Karpackich Górali". Utwory własne zaczynają dopiero powstawać — ale to co nam pokazali jako wykonawcy stało na poziomie najczystszej sztuki. Teatr huculski — to życie — ale życie, z którego uleciała trywjalność. Wzruszenie wyraża się prawdziwemi łzami — ale „artystka" nie ściska sobie nosa by je wywołać, tylko płacze, płacze szczerze. Uśmiech lśni radością i błyska bielą zębów. Dowcip wywołuje śmiech wszystkich artystów. Gniew — huczy pasją, łamie stołki, rzuca karabinem o ziemię. Każdy gest liryczny ma dziwną naturalną okrągłość, miękkość i *dostojność*. Teatr huculski gra z przejęciem, przeżywa według naj-

Huculski orszak weselny przeprawia się przez Prut.

Fot. kpt. Kowalski



bardziej modernistycznych kanonów reżyserskich, (nie wiedząc, że takie reżyserskie wymagania są stawiane), ma w sobie dostojną szczerość i prostotę, wystrzegając się pospolitości i prostactwa. Dzięki tym niezmiernym walorom samorodnej sztuki teatr huculski staje na wyżynie odtwórczej, często niedościgłej dla artystów... uczonych.

Przez trzy godziny przedstawienia zapomina się, iż jesteśmy w salce teatralnej T. S. L. w Worochcie — przez trzy godziny żyjemy bólem, cierpieniem i śmiechem aktorów - hucułów, artystów, grających bez suflera, bez manjery, minoderji i gierek.

W tem przedstawieniu, jakie nam pokazano w Worochcie, nie było „teatru ludowego" w banalnem pojęciu. To był teatr żywy, prawdziwa sztuka ludu.

Zamierzenia Tow. Pop. Huculszczyzny winny odbić się żywem echem w całem społeczeństwie. Zapewne Worochta, Żabie — to jeszcze nie „kurorty", wiele jest jeszcze do zrobienia, ale tem lepiej.

To, co na razie widzimy, jako już dokonane, to co jako nakreślony program przedstawiono — napełnia otuchą, że plan mądrze będzie wykonany. Siewcy tej myśli —gen. Kasprzycki, prez. Górecki, min. Bobkowski i wielu, wielu w tym zakresie zasłużonych, przy pomocy tak zapalonych wykonawców jak pp. kpt. Kozolubski, Kowalski, Strzelecki, władze miejscowe z woj. Jagodzińskim i niestrudzonym pionierem, kierownikiem, wójtem Szekierykiem na czele, zrealizują niewątpliwie projekty, które Huculszczyźnie przysporzą dobrobytu, a Polsce powiększą kapitał naturalnego eksploatowanego piękna.

L. Ch.



Wójt gminy Żabie, Szekieryk, energiczny obrońca interesów Huculszczyzny.

ARESZT DOMOWY

(HUMORESKA).

Sąd Okr. w Warszawie zastosował ostatnio w kilku wypadkach rzadko praktykowany areszt domowy.

Wobec osób, ukaranych w trybie administracyjnym za drobniejsze przekroczenia karno-skarbowe, odbycie kary w domu może być zastosowane, o ile skazany nie był dotąd karany i zasługuje na zaufanie.—Areszt w mieszkaniu własnem nastąpić może tylko przy karach nie przekraczających 7 dni pozbawienia wolności.

Domowych aresztantów pilnują funkcjonarjusze policyjni na koszt skazanych. — Podczas odbywania aresztu domowego nie wolno przyjmować żadnych wizyt.

(I. K. C.).

— Czy przyznaje się pan do winy? — zapytał sędzia zmęczonym głosem.

— Przyznaję.

Mógłbym był powiedzieć, że nie znałem przepisów; mógłbym usprawiedliwić się nieznajomością prawa, ale wiem, że nie można się usprawiedliwiać nieznajomością prawa, a ponadto żal mi się zrobiło sędziego, który tego dnia rozpatrywał dwudziestą trzecią sprawę, i z miejsca przyznałem się do winy.

Sędzia nic nie odpowiedział, ale w oczach jego wyczytałem tyle wdzięczności dla mnie, że mogłem liczyć na bardzo poważne okoliczności łagodzące.

Sędzia nachylił się ku sekretarzowi, któremu szeptem coś podyktował, poczem zwolnił świadków i po chwili ogłosił wyrok skazujący mnie na 7 dni aresztu.

— Oskarżonemu przysługuje w ciągu 14 dni prawo do odwołania — ogłosił sędzia utartą formułkę.

— Dziękuję, nie skorzystam — odparłem, dodając, że pragnąłbym zaraz rozpocząć odsiadywanie kary.

— Wyrok nie jest jeszcze prawomocny — objaśnił sędzia, poczem zapytał o powód pośpiechu.

— Chciałbym pozbyć się tego obowiązku przed sezonem, bo jak mi wypadnie w sezonie, to będę stratny.

— W jakim sezonie?

— W wyścigowym.

Sędzia uśmiechnął się pod zgolonym wąsem i uczynił ruch, jakgdyby chciał powiedzieć, że nic na to nie poradzi.

Minęło kilka tygodni, w ciągu których zdążyłem już zapomnieć o wyroku, gdy pewnego poranku zjawił się u mnie w mieszkaniu posterunkowy P. P. Towarzyszył mu dozorca, który zaświadczył, iż to właśnie ja jestem poszukiwaną osobą, na której sumieniu ciąży 7 dni aresztu.

— Więc mam się ubierać? — zapytałem przedstawiciela władzy.

— Niekoniecznie, areszt odsiedzi pan w domu.

— Tu?! W domu?!

— Tak jest, tu, w domu.

— Jakże to będzie? — zapytałem.

— Ano, według instrukcji będzie. Nie wolno panu będzie wydalić się za próg, ani rozmawiać przez telefon, ani przyjmować wizyt, ani żadnych interesów załatwiać.

— A jeżeli wyjdę na miasto?

— Nie wyjdzie pan, bo ja tu będę dzień i noc pana pilnował.

— I stołować będzie się pan u nas, i nocować?

— W obiad i na noc zluzuje mnie inny posterunkowy.

— W takim razie proszę rozgościć się u nas. Może herbaty, może kawki? Niech pan pozwoli do salonu.

Przedstawiciel służby bezpieczeństwa podziękował za wszystko i urzędowo zajął miejsce w przedpokoju. Otworzył drzwi do salonu, by mnie mieć stale na oku.

Nie minęło jednak dwóch godzin, kiedy już nietylko pierwsze lody były przełamane, ale wiedzieliśmy już wszystko co dotyczy osoby mego anioła-stróża, a więc znaliśmy jego rodziców, wieś, skąd się wywodził, żonę i dwoje dziatek, pułk, w którym służył i mnóstwo innych detali.

W południe ktoś zadzwonił u drzwi. Wyjrzałem przez dziurkę i poznałem krawca, który przyszedł po ratę.

— Wizyta! — szepnąłem do policjanta, który otworzył drzwi i krótkiem „Nie można" tak spłoszył natręta, że ten galopem zbiegł z czwartego piętra.

Podobne sceny w ciągu tygodnia powtórzyły się przy okazji przyjścia inkasentów z gazowni, z elektrowni, z kasy chorych, sekwestratora urzędu skarbowego, rejenta z wekslem do protestu, komornika oraz dwuch kwestujących par.

Posterunkowy jako człowiek żonaty i inteligentny, widzenia z żoną również ograniczył do niezbędnych potrzeb. Gdy tedy zażądała 20 złotych na utrzymanie domu, pozwolił mi na wypłacenie tej kwoty. Ale gdy zażądała 50 złotych na kapelusz, ustalił, że jest to interes i nie pozwolił więcej o tem mówić.

Przeżyłem tydzień niczem nie zakłóconego spokoju. Nadszarpane nerwy moje wypoczęły, jak po żadnym urlopie, jak po żadnej kuracji. Tych 7 dni minęło, jak z bata trzasnął i jak sen jaki złoty.

Koszt pilnowania chętnie zapłaciłem, bowiem przez tydzień byłem wygrany na około 300 zł. Rżnęliśmy bowiem dniami i nocami w „zechcyga", w „oko" i w „derdla", a muszę powiedzieć, że mój anioł-stróż, i ten dzienny i ten nocny, wcale jak anioł nie grał. Fuszerowali.

Po tym tygodniu zrozumiałem głęboki sens przysłowia: „wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej".

Termidor.

ŚWIAT TEATRU

TEATR NOWY

„Arleta i zielone pudła", komedja Homika.

Do mieszkających na francuskiej prowincji czterech starych panien zjeżdża z Paryża kuzynka ich, Arleta, osóbka bardzo nowoczesna — i wprowadza zamęt w ich monotonne życie. Rewolucja dochodzi do zenitu, gdy jedno z „Zielonych pudeł" dzięki sprytowi i energji Arlety wychodzi zamąż. Arleta wówczas czyni to samo — i komedyjka się kończy.

Z niezgorszej może powieści państwa Acrement wykroił A. Homik sztukę, która znaczniebу zyskała, gdyby się z nią był reżyser obszedł o wiele surowiej. Z czterech aktów zrobić należało trzy, a pozatem poskracać wszystkie niemal sceny, ciągnięte przez autora niepotrzebnie dla doszczętnego wygrania czasem nawet zabawnie zaznaczonych pomysów.

Potraktowana przez reżysera Ziembińskiego *realistycznie* sztuczka ta chwilami bawi, czasem niecierpliwi, kiedyindziej nuży. Płaskość zainteresowań „zielonych pudeł", małość ich zmartwień, szarość ich życia — odtworzone ze ścisłością fotograficzną — irytują. Gdyby jednak te cztery postacie potraktować pod kątem widzenia czystej groteski — (jak np. Jooss wystylizował swych obradujących w Genewie dyplomatów, albo jak trupa hebrajska „Habima" ujmuje niektóre postaci) — wówczas uzyskałoby się w dość błahej sztuce zamiast jednego—dwa plany gry. Świat ludzi realnych, w którym obracaliby się Arleta, ksiądz, gospodarz domu i inni, — oraz widmowy świat kukieł z nieprawdziwego zdarzenia — t. j. czterech „zielonych pudeł". Sama „seryjność" tych czterech jednakowo ubranych, starych dziwaczek jakieżby dawała bogactwo zestawień sytuacyjnych, rytmicznych ugrupowań, dla spotęgowania czterokrotnie zgęszczonego w nich komizmu. W końcu sztuki żywe marjonetki należałoby obudzić i sprowadzić je do życia prawdziwego—a stałoby się to logicznie w chwili, gdy jedna z nich wciągnięta zostaje w to życie siłą miłości. Miłość z marjonetki wyzwala kobietę — inne zielone pudła w tym samym momencie zmieniałyby również głos, ruchy i postawę wobec spraw tego świata. Z konfliktów świata marjonetek ze światem ludzi zwykłych płynąłby zaostrzony komizm sytuacji.



Przyjazd Arlety do domu „Zielonych pudeł". (Kawińska, Krzymuska, Solska, Chojnacka, Jarkowska, Gellówna). Fot. J. Malarski

To są tylko uwagi, czem mogłaby być ta sztuczka, gdyby...

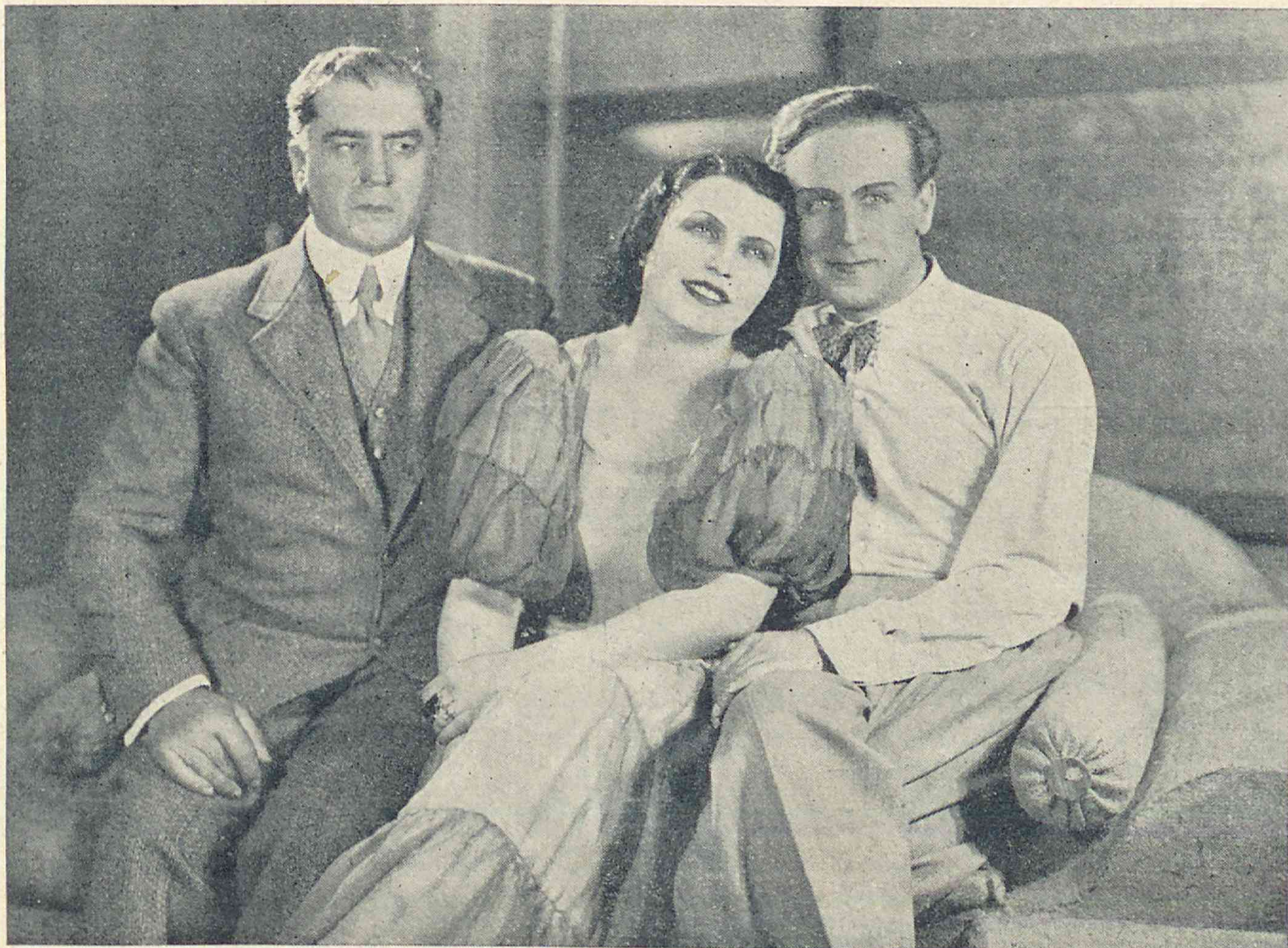
Ale że recenzję pisać należy o tem, jak było w rzeczywistości, więc zaznaczymy tylko świetność poszczególnych wykonawców w ramach, zakreślonych im przez reżysera.

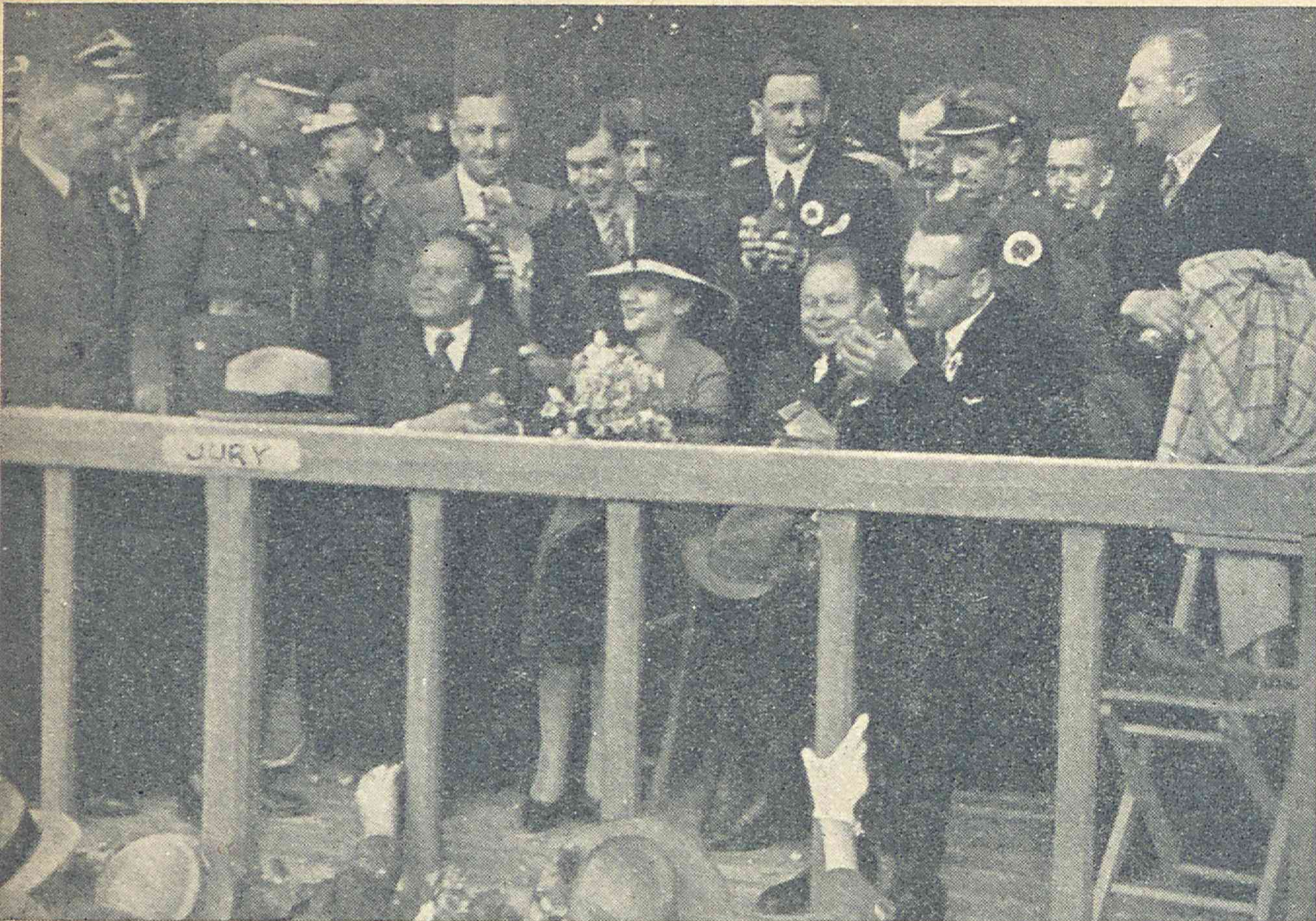
Cztery pudła — znakomite. Solska sroga w słowach, a niepokojąca od początku jakąś ukrytą w uśmiechu dobrotliwością, która kazała podejrzewać w tym pseudodragonie, w tem najstarszem „pudle" jakieś drugie dno, znacznie głębsze niż to widoczne. Gellówna — świetnie onieśmielona życiem, które się przed nią otwiera. Rozalja w wykonaniu Krzymuskiej — wprost zniewalająca bierną poczciwością, i ukrytem ciepłem wewnętrznem. Joanna Chojnackiej — kamienna w wyrazie, raczej przerażona niż olśniona biegiem wypadków.

Jarkowska, czarujący łobuz, jak zwykle. Kurnakowicz komiczny w swem niedołęstwie życiowem, ksiądz grany przez Boneckiego z miłem wyczuciem pobłażliwości dla ludzkich słabostek, Kawińska charakterystyczna w roli starej służącej, Ciecierski, Michalak, Janowski i Fijewski dobrzy w mocno zarysowanych rolach mniejszych.

Dekoracje Jarockiego wymowne. Kostjumy „zielonych pudeł" — znakomite. *Z. N. Ch.*

„Kochankowie" Grubińskiego, w Teatrze Kameralnym, cieszą się stałem powodzeniem. W rolach głównych: Brydziński, Grywińska, Łuszczewski. Fot. St. Brzozowski





Bracia Adamowicze zajęli miejsca w Jury na Corso kwiatowem

CORSO KWIATOWE W ŁAZIENKACH

(Zdjęcia E. Koch)

Na rzecz Polonji Gdańskiej odbył się ostatnio w Łazienkach wielki festyn ogrodowy pod protektoratem Pani Ministrowej Józefowej Beckowej i Pana Ministra Kazimierza Papée.

Główną atrakcją zabawy było corso kwiatowe, w którem uczestniczyło szereg samochodów prywatnych i firmowych, motocykli i pojazdów konnych.

Sprężysty komitet organizacyjny celem uświetnienia zabawy zaprosił chlubę lotnictwa polskiego — naszych słynnych lotników transatlantyckich Bronisława i Józefa Adamowiczów. Witani rzęsistemi oklaskami, przybyli Bracia Adamowicze w towarzystwie znanych artystek polskich Heleny Makowskiej i Julji Kraszewskiej na stadjon konkursów hippicznych, co dało znak do rozpoczęcia corsa kwiatowego.

Pierwsze trzy nagrody w kategorji samochodów osobowych otrzymały samochody marki Polski Fiat. Pierwszą — przepiękne torpedo Polski Fiat najnowszy model 518, oddany przez Dyrekcję Sp. Akc. Polski Fiat do dyspozycji braci Adamowiczów. Drugą — wytworny cabriolet Polski Fiat model 508 pani H. Łebkowskiej, wreszcie trzecią również torpedo model 518 pana Dr. Lucat.

Maska Polskiego Fiata braci Adamowiczów przybrana była różami ponsowemi i białemi, a boki karoserji różowym groszkiem w sposób nader efektowny przez kwiaciarnię Zbigniew Tomczyk (Aleja Szucha 2). Samochód p. Łebkowskiej przybrany był girlandami z groszku i lewkonji, które misternie wykonała również nowoczesna kwiaciarnia Z. Tomczyk.

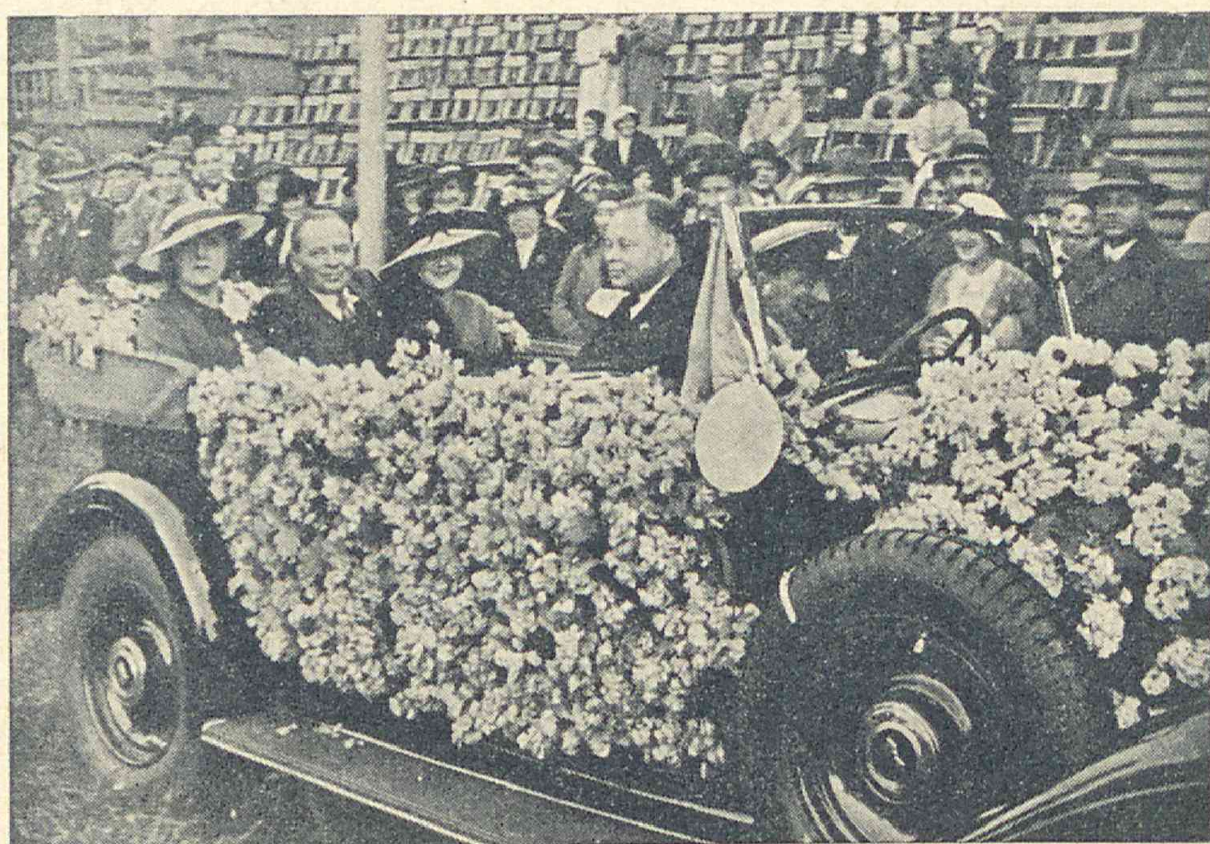
Pierwszą nagrodę w dziale firmowych samochodów ciężarowych otrzymał samochód najstarszych w kraju Zakładów Ogrodniczych C. Ulrich, których centrala mieści się przy ul. Ceglanej 11, a detaliczny sklep z kwiatami przy ul. Wierzbowej 3. Samochód firmy C. Ulrich przybrany był girlandami groszku.

Ciekawie wypadł pokaz znanej fabryki czekolady Fuchs, która zaprezentowała lokomocję dwóch epok: ze stylowo ubranym stangretem, ukwieconą karetką konną, jaką rozwożono wyroby fabryki w roku 1829 oraz wielkie auto ciężarowe, jedno z licznego taboru samochodowego, jakim odbywa się obecnie przewóz towarów. Zestawienie tyh dwóch epok w rozwoju firmy jest wymownym dowodem, iż w ciągu zgórą 100 letniego istnienia firma Fuchs zdobyła największe doświadczenie w zaspakajaniu gustów i smaku publiczności.

Bardziej ustalone warunki atmosferyczne niewątpliwie przyczyniłyby się do zgromadzenia się jeszcze większych tłumów, pragnących wziąść udział w beztroskiej zabawie i przyczynić się do zasilenia funduszów Związku Polaków w Gdańsku.

Bracia Adamowicze podpisali setki autografów, które uniosły na krańce Polski gołębie pocztowe, wypuszczone z Corsa w Łazienkach.

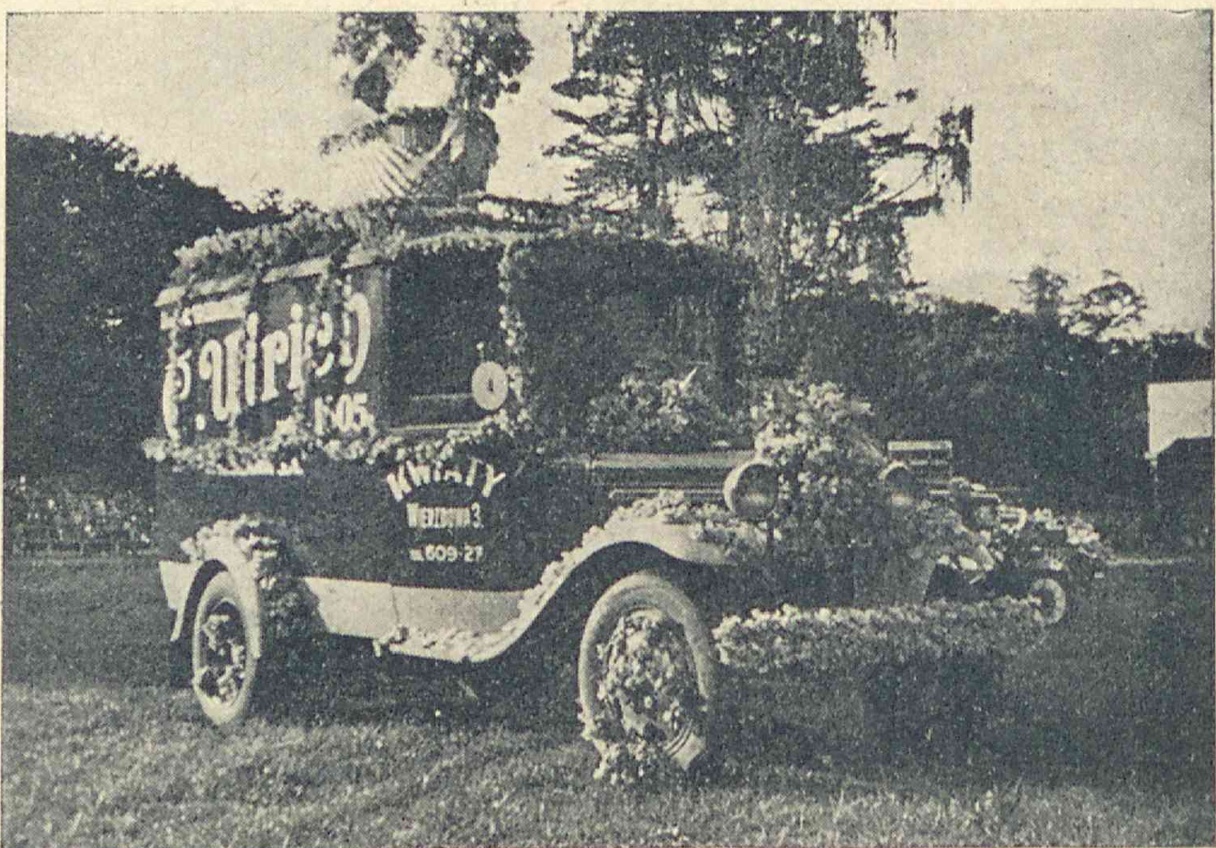




Bracia Adamowicze, zdobywcy Atlantyku, w samochodzie Polski Fiat torpedo 518. Dekoracja kwiatowa firmy Z. Tomczyk.



Pani Halina Łebkowska w pięknym cabriolecie Polski Fiat 508. Kwiaty i dekoracja z firmy Z. Tomczyk.



Z kosza pomysłowo umieszczonego na dachu samochodu Zakładów Ogrodniczych C. Ulrich, obrzucano publiczność pachnącym groszkiem.

MODA SPORTOWA

CZYLI

CAŁY DZIEŃ W MAJTECZKACH

Gdyby tak ekscentrycznej pamięci pani George Sand, słynna autorka przydługich powieści i ekstrawagancka przed stu laty reformatorka obyczajów nagle zmartwychwstała — może położyłaby się napowrót do grobu z przerażenia. Choć sama dla wygody nosiła się chętnie po męsku, jednak takiego szału spodeńkowego napewno nie przewidywała. Kobiecie coraz mniej potrzebne są suknie — coraz częściej zato widujemy ją— w stroju męskim.

W pyjamie piękna pani śpi, w pyjamie spędza ranne godziny do śniadania. W męskich briczesach, u męskiego krawca robionych, jeździ potem konno, — poczem na chwilę może przebiera się w suknię, aby załatwić sprawunki i fryzjera. Popołudniu szermierka — w krótkich spodeńkach obcisłych, najlepiej białych — (chociaż amerykanki na naszem zdjęciu wolą trenować w czarnych).

Jeżeli pływalnia — to znowu trykot męski, bez żadnych cudactw i stroików. Albo partja tennisa...

No i tu świat się kończy. Ten piękny sport, jeden z najszlachetniejszych, w ruchu zbliżony do tańca, dotychczas pozwalał kobiecie występować w sukni, w krótkiej kloszowej spódniczce z miękkiej tkaniny, która w śliczne greckie fałdy rozwiewała się w biegu. Było to naprawdę pełne wdzięku—i chyba dość przytem wygodne, jeżeli słynna szampionka świata Zuzanna Lenglen i młoda jej pogromczyni Helena Wills grały zawsze w sukni. Dzisiaj — i na tem polu „złej tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy". Zapanowały na kortach tennisowych — „shorty"...

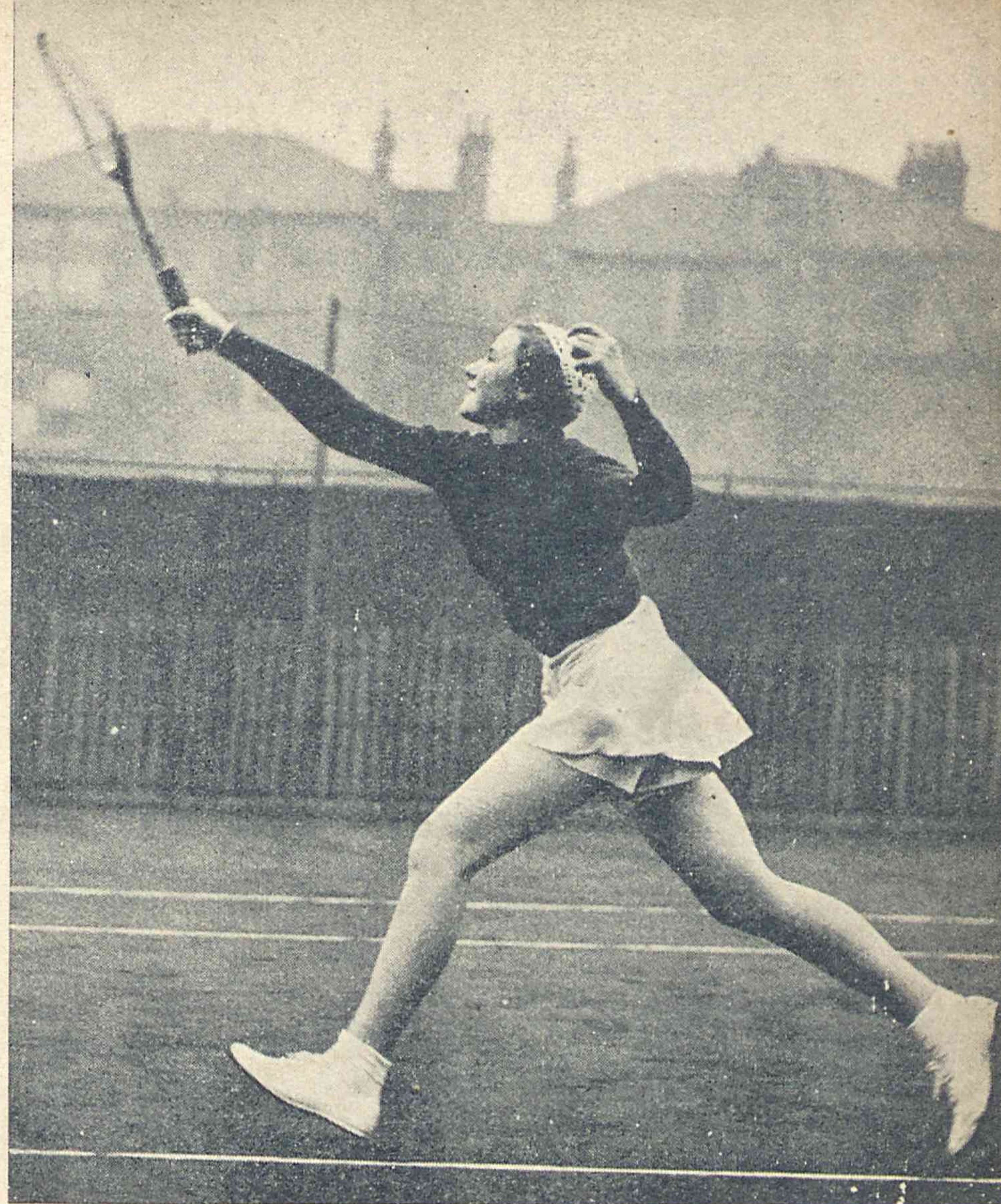
Co to jest?

Bardzo poprostu — majteczki. Wprowadzone w roku ubiegłym zamiast pyjam plażowych, shorty doznały entuzjastycznego przyjęcia nad morzem — i słusznie. Plażowa pyjama była czemś wręcz ohydnem, i żadnej kobiecie nie było w niej ładnie — dla tej prostej przyczyny, że miała zawsze pozór nieświeży. Najszczuplejsza, najbardziej do Djany podobna postać wyglądała w pyjamie plażowej, jakby tylko co wstała z łóżka po dobrze przespanej nocy. A już lepiej nie wspominać, jak prezentowały się w tym stroju okrągłości i obfitości, których natura naogół Polkom nie odmówiła. Dla większości pań była to moda iście samobójcza — ale ponieważ obowiązywała, więc samobójstwo z reguły popełniały wszystkie. Short jest od pyjamy nad morzem bez porównania estetyczniejszy. Bardziej celowy — gdyż odsłania prawie całe nogi, pozwalając na równomierne opalanie całego ciała. Mniej się gniecie, gdyż poprostu... mniej go jest. Na wietrze nie nadyma się jak żagiel. Na bujniejszych kształtach nie opina się jak wydęty balon. Słowem — niech żyje short na plaży!

Ale żeby zaraz miał awansować na kort tennisowy i rugować stamtąd estetyczną spódniczkę — tego już zawiele! Spojrzyjmy na nasze zdjęcie, przedstawiające jedną z najzgrabniejszych tennisistek angielskich — i przyznajmy pocichu, że jednak w sukni wyglądałaby ładniej. Płynność ruchu jakoś się w tym kusym stroiku zatraca, powstają brzydkie kanciaste fałdy, nie idące za rytmem ciała — słowem znowu kobieta niewiadomo dlaczego rozmyślnie się szpeci. Że wygodniej? — Absolutnie nie wierzę. Krótka spódniczka dość szeroka wcale ruchów nie hamuje.

Co innego oczywiście przy sportach „ostrzejszych" — jak lekka atletyka, biegi, skoki, rzucanie dyskiem czy oszczepem. Tam wogóle o estetykę ruchu nie chodzi. Przyjrzyjmy się dokładnie wszelkim zdjęciom sportowym, a zobaczymy twarze wykrzywione bolesnym skurczem wysiłku, ruch niezawsze najpiękniejszy, ale zawsze najkrótszą drogą zmierzający do celu. Tennis zaś jest przedewszystkiem sportem pięknym, sportem wytwornym — kobieta dobrze grająca w tennisa czaruje płynnością ruchów, niemal że taneczną. Odebrać jej te możliwości przez ubranie ją w „shorty" jest złośliwością, przeciwko której powinna stanowczo zaprotestować. Na górskiej wycieczce, na kajaku, na rowerze, z floretem w dłoni, w skoku wdal, czy w falach morza — prosimy bardzo. po męsku. Ale na tennisie — wypraszamy sobie tę modę. Chcemy tu pozostać kobietami, w pełni kobiecości.

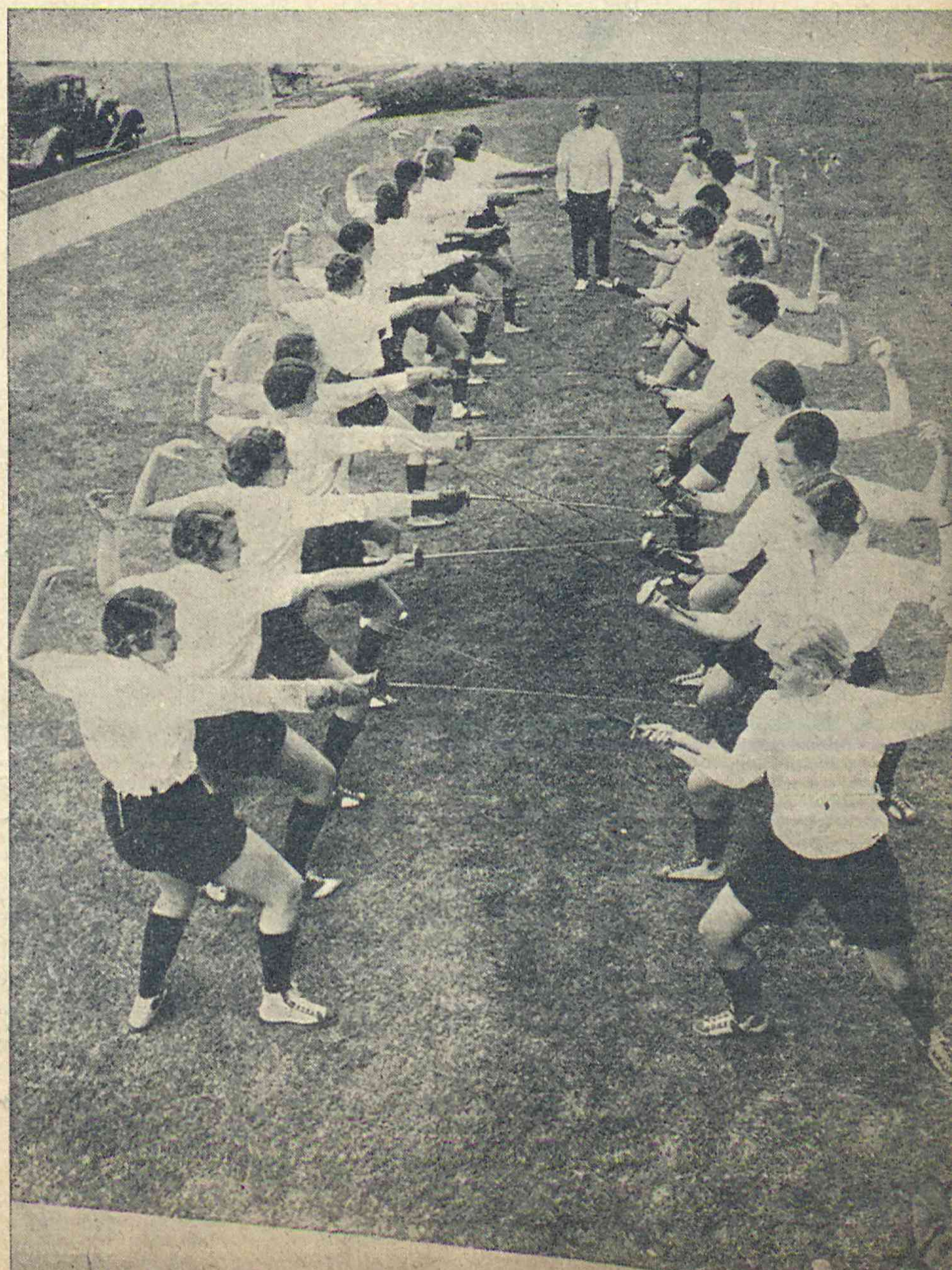
Lustucru.



Miss Batt grywa tylko w shortach.

Reprezentacyjne
KORTY TENNISOWE
„CAFE RIVIERA"
(dawna Łobzowianka)
godzina 1.50 zł.

Lekcja szermierki młodych Amerykanek



WANDA WASILEWSKA

PRZEŁĘCZ ŚMIERCI

(NOWELA)

W lokalu Trzaski było pełno. Przy wszystkich stolikach siedziały ożywione grupki ludzi, połyskiwały lekkie, kwieciste toalety pań, gdzieniegdzie widniał sportowy kostjum turysty. W bocznej wnęce leżały oparte o ścianę wyładowane plecaki, okolone zwojami grubych lin. Stamtąd też dolatywała najgłośniejsza rozmowa, nagłe wybuchy śmiechu i srebrzysty podźwięk kieliszków. Rozglądaliśmy się chwilę w poszukiwaniu jakiegoś wolnego miejsca i wreszcie z trudem przeciskając się przez salę dobrnęliśmy do stolika w odosobnionym kącie, przy którym siedział niestary jeszcze pan o posiwiałych skroniach, ciągnąc wolno przez słomkę mazagran z wysmukłej szklanki. Przyjrzał się nam niezbyt życzliwie, ale skinął głową, gdy spytałem, czy można zająć miejsce. Ponieważ wyglądał na jakiegoś mruka - samotnika, nie zwracałem więcej na niego uwagi i zacząłem omawiać ze Stefanem program wycieczki na następny dzień.

Ze Stefkiem łaziłem po górach już od lat. Przystosowaliśmy się jakoś do siebie i od czasów szkolnych stale spędzaliśmy razem całe wakacje. W tym roku nie powiodło się nam. Stefan złapał zapalenie płuc podczas wiosennej wycieczki narciarskiej i długo przechodził okres rekonwalescencji. Mnie powołano na ćwiczenia wojskowe i tak pierwsza część sezonu się zmarnowała. Stefan nie wrócił w pełni do sił i dlatego postanowiliśmy nie robić narazie żadnych forsownych wspinaczek, ale na początek zadowolić się przebywaniem znanych już dobrze, łatwiejszych szlaków, póki nie wejdziemy znowu w „dryg". Pierwszą turą miał być Mięguszowiecki nad Morskiem Okiem.

W pewnym momencie zauważyłem, że nasz przygodny towarzysz drgnął i nagła fala bladości przebiegła jego ostrą, spaloną na bronz twarz.

— Panowie się wybierają na Mięguszowiecki? — zapytał niespodzianie.

— Tak — odparłem, zdziwiony tem obcesowem wtrącaniem się do rozmowy, której napozór wcale nie słuchał, zatopiony w kontemplacji bryłek lodu, pływających w brunatnej cieczy stojącej przed nim szklanki.

— Którędy?

— Oczywiście przez przełęcz Pod Chłopkiem, do Morskiego dojedziemy rano autobusem. Pan zna dobrze Tatry?

Nie odpowiedział. Podniósł nagle powieki i spoczęło na mnie spojrzenie ołowianych, martwych, niesamowitych oczu.

— Jutro jest ósmego?

Szturchnąłem pod stołem Stefka. Ładna historja! oczywiście warjat! Wąskie bezbarwne wargi nieznajomego wykrzywił uśmiech.

— Nie, proszę pana — odparł na moją niewypowiedzianą myśl. — Wydałem się panu trochę... powiedzmy... dziwaczny — ale moje pytanie było całkiem logiczne i łączyło się z poprzedniem.

Odetchnął głęboko.

— Niech panowie zrezygnują na jutro z tej wycieczki. Tyle jest innych dróg i szczytów... Naprzykład...

Stefan poruszył się niecierpliwie.

— Ale dlaczego? Właśnie tam chcemy być jutro i będziemy..

— I będziemy... jak się to lekko mówi, młody człowieku — niech panowie posłuchają jednak dobrej rady i przez jutrzejszy dzień posiedzą jeszcze w Zakopanem, albo idą w inną stronę.

Ogarnął mnie gniew. Ten obcy mówi do nas, jak do smarkaczy, wtrąca swoje trzy grosze i daje nieproszony rady tak, jakbyśmy nie mogli się bez niego obyć. W pierwszej chwili chciałem uciąć sprawę jakiemś grubjaństwem, które odrazu zakończyłoby niedorzeczną aferę, ale powstrzymało mnie ciężkie, kamienne spojrzenie szarych oczu.

— Może zechce nam pan wyjaśnić to zainteresowanie się naszą wycieczką i swoją radę? — zapytałem ze złością.

— Wyjaśnić? Oczywiście, mogę wyjaśnić. Ale szczerze powiem panu: wolałbym o tem nie mówić. Czy istotnie niemożliwa byłaby dla panów zmiana planu na jutrzejszy dzień tylko na tej podstawie, że ostrzega was człowiek, który musi mieć potemu poważne przyczyny?

— Nie, proszę pana. Ułożyliśmy wycieczkę i żaden z nas nie zrzeknie się jej dla czyichś fantazyj. Nieprawdaż, Stefek?

Stefan siedział dziwnie osowiały, ale skinął potakująco głową.

— No widzi pan. Kelner, płacić! Trzeba wcześniej wrócić do domu i wyspać się gruntownie. Jutro nas zbudzą o czwartej.

— Więc jednak panowie się nie rozmyślą?

— Nie, niema obawy. Dziękujemy za troskliwość — i dobranoc! — rzuciłem szyderczo, bo tajemniczy jegomość nie na żarty wyprowadził mnie z równowagi.

Kiedy przeciskaliśmy się wąskiem przejściem, usłyszałem, jak szepce do siebie: — ósmego sierpnia... ósmego sierpnia...

Przyznam się, że nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi po skórze. Było w tem coś niesamowitego.

— No i co, Stefek? co o tem sądzisz? Wzruszył ramionami.

— Ot, warjat. Nie słyszałeś, jak bełkotał coś pod nosem? Najgłupsze jest to, że mnie naprawdę zdenerwował.

— Plunmy już na to. Popatrz, jaka cudowna noc! Na jutro murowana pogoda.

Szliśmy wolno Krupówkami w ulicę Kościeliską, gdzie zajmowałem ze Stefanem mały pokój w willi naszych wspólnych znajomych. Niebo skrzyło się od gwiazd, pokryte lasami zbocza regli ciemniały jak groźny mur, oddzielający od nas widmowe, poszarpane fantastycznie, jakby unoszące się w powietrzu sylwetki skał. Było cicho i jasno, choć wąski sierp księżyca schował się już za wierzchołkami świerków. Z boku bełkotał strumień, przelewając się po głazach.

— Przepraszam panów — zabrzmiał tuż obok niski, przejmujący głos.

Odwróciłem się jak na sprężynie.

— Psia krew! — zakląłem niemal głośno. Za nami stał nasz nieproszony opiekun od Trzaski.

— Czego pan sobie jeszcze życzy?

— Panowie mimo wszystko nie zrezygnowali ze swego projektu?

— Nie! — wrzasnąłem z wściekłością. — proszę nam nie zawracać więcej głowy. Chodź, Stefek!

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego...

Dziwna nuta w głosie nieznajomego wstrzymała mnie w miejscu.

— No to proszę. Już późno, więc niech się pan streszcza.

Ołowiane oczy utkwiły we mnie ciężkie spojrzenie.

— To dosyć długa historja. Ale sądzę, że warto jej wysłuchać, szczególnie panom. Może wstąpimy tutaj?

Na rogu widać było jeszcze światło w niewielkim szynku. Zły na siebie wszedłem jednak po drewnianych schodkach. W małej salce siedziało w kącie paru pijanych górali, którzy wbrew zwykłemu obyczajowi zachowywali się zupełnie cicho, załatwiając półszeptem jakieś sprawy, które ich całkowicie absorbowały. Pozatem było pusto. Usiedliśmy przy brudnym stole.

— Trzy czyste większe — rzucił zamówienie nieznajomy. — Wprawdzie to niezbyt wskazane przed wycieczką, ale ja jeszcze nie tracę nadziei.

Chciałem powiedzeć coś ostro, ale Stefan mnie trącił.

— Poczekaj, niech się wygada — szepnął mi — inaczej, zdaje, się wogóle się go nie pozbędziemy.

Siedziałem wobec tego cicho. Obcy wziął w ręce grubo rznięty, niezbyt czysty kieliszek i przez chwilę przyglądał się pod światło opalizującemu płynowi.

— Na zdrowie!

Jednym haustem wychylił zawartość.

— Hej tam, trzy czyste!

Wypił znowu.

— Ósmego sierpnia... panowie oddawna chodzą po górach?

— Od kilku lat w każdym razie.

— Nie obiło się panom czasem o uszy coś o wypadku Ewy... Ewy Załęskiej?

Mglisto przypomniałem sobie jakąś historję z przed paru lat, ale choćby mnie kto pałką w łeb walił, nie wiedziałem, o co chodziło.

— Ja uprawiam turystykę od szesnastu lat. Złaziłem wszystko — możliwe i niemożliwe. Osiem lat temu... Miałem trzydziestkę. Osiem lat temu, ósmego sierpnia poprowadziłem na przełęcz Pod Chłopkiem pannę Ewę Załęską, z którą się zaręczyłem na parę miesięcy przedtem. Nie będę panom o niej mówił, to do rzeczy nie należy. Zresztą... była czemś więcej, niż może wyrazić marne ludzkie słowo...

— Trzy czyste! — krzyknął znowu. Gruby gospodarz nalał skwapliwie i znikł w czeluściach sąsiedniej izby, skąd wiało zaduchem niewietrzonej nigdy, chłopskiej sypialni.

— Nie pij już — szepnął Stefan, ale ostrzeżenie to było zupełnie zbyteczne. Nasz towarzysz zagarnął wszystkie trzy kieliszki na swój wyłączny użytek.

— Pogoda była cudowna, trochę tylko mgieł włóczyło się dolinami, bo to było po większych deszczach. Doszliśmy szybko na przełęcz. Umiała chodzić. Mogła godzinami się wspinać bez śladu zmęczenia. Zresztą — umiała wszystko... Ósmego sierpnia... Siedzieliśmy tam na przełęczy. Hińczowe stawy były jeszcze bardziej szafirowe, niż zwykle. Poprostu ordynarnie, jaskrawo szafirowe. Nie chciało nam się stamtąd ruszyć. Ale ni stąd, ni zowąd zerwał się wiatr, oziębiło się nagle. Trzeba było zawracać. Kiedyśmy schodzili w dół, mgła zaczęła walić kłębami z tamtej strony, pociemniało, skały zrobiły się mokre, śliskie. Szedłem pierwszy, ona za mną.

— Trzy czyste! i zostaw pan tu butelkę.

— Morskiego prawie nie było widać, zaczął mżyć deszcz. Ot, tak nagle, z cudownej pogody, jak to często bywa, w godzinę zrobiła się plucha. Ona się śmiała z tej przygody. — Oprzyj mi rękę na ramieniu — mówię do niej, — bo się poślizgniesz. Dobrze — odpowiada — i nic. Więc się oglądam... Proszę panów, za mną nie było nikogo. Tylko mgła, deszcz, obmokłe kosówki i szare skały.

W pierwszej chwili myślałem, że mi się schowała dla żartu. Ale to trwało za długo. Wróciłem, wołałem — nic...

Wtedy dopiero włosy zjeżyły mi się na głowie. I wierzcie, nie wierzcie, ale mgła, gnana z przełęczy wiatrem, ułożyła się w powietrzu w płynące na mnie, straszliwe, bezokie oblicze. Jak nieprzytomny pognałem do schroniska.

No i nic. Przyszło pogotowie, przetrząsnęli każdy kamyk, każde miejsce. Ani śladu. Jakby się w ziemię zapadła. To było osiem lat temu, ósmego sierpnia.

Przyznam się, że siedzieliśmy całkiem zdrętwiali. Nawet nie sama treść opowiadania tak na nas podziałała. Ale wnikliwy głos, przejmująca mimika twarzy, a nadewszystko oczy, które w trakcie opowiadania stały się już niewątpliwie oczyma szaleńca, półciemna izba, może trochę i wypita wódka, wszystko to stworzyło tak niesamowity nastrój, że zęby mi dygotały. Stefan był blady jak śmierć.

— A teraz panowie zrobią co zechcą. Ja zrobiłem, co do mnie należało. Wstaliśmy, chwiejąc się trochę na nogach. Wyciągnął do nas żylastą, twardą dłoń.

— Dobranoc, proszę iść do domu. Ja tu zostanę. Gospodarzu! Jeszcze butelka!

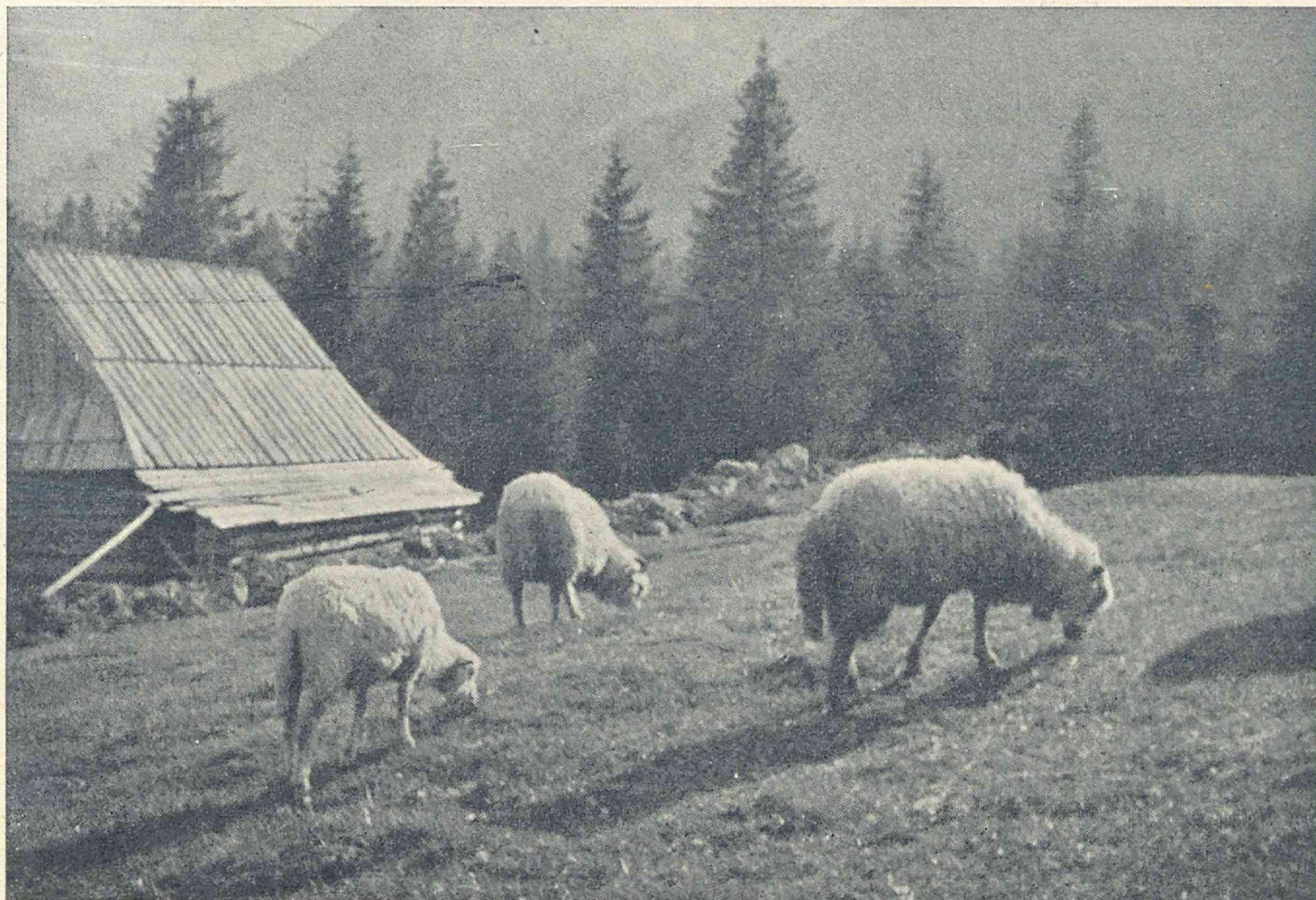
Szliśmy w zupełnem milczeniu. Ręce mi się trzęsły jeszcze wtedy, kiedy zapalałem w pokoju lampę. Bogiem a prawdą, to odechciało mi się całkiem tej wycieczki.

— Co o tem myślisz, Stefek?

— Manjak, warjat, to przecież oczywiste. Chyba dla tych obłąkanych bredni nie zmienimy zamiaru? Uważasz, dlatego że dajmy na to, ósmego sierpnia przed ośmiu laty...

— Naturalnie, chodźmy spać, do czwartej już niewiele czasu, a Józkowa, jak ma zapowiedziane, to choćby pioruny waliły, bez litości ściągnie nas z łóżek.

Miałem nadzieję, że coś się jeszcze zdarzy, popsuje się pogoda, czy co, tak, że „siła wyższa" zwolni nas od wycieczki. Ale iskrzące się gwiazdy, rzeźwy chłód i cisza nocy wcale tego nie zapowiadały. Musiałem się więc pocieszać tem, że może po przespaniu nocy stwierdzimy, jak to często bywa, że trapiąca nas zmora była chwilowym, przemijającym nastrojem. Mimo to jeszcze dosyć długo przewracałem się na łóżku, nie mogąc usnąć. Majaczyły mi dziwaczne postacie, martwe spojrzenie nieznajomego i znów przechodził mnie ten sam dreszcz co przy jego opowiadaniu.



Owce w Tatrach Fot. Wieczorek

Ale chłodny, różowy i błękitny świt rozwiał wszystko. Zbudziliśmy się niezbyt wyspani, lecz w najlepszych humorach.

— Wiesz, to śmieszne, jak przy świetle dziennem wszystko inaczej wygląda— zauważył Stefan. — Rozhisteryzowaliśmy się wczoraj jak stare baby.

— Ale ten typek był ciekawy, co? Trzebaby się o nim dowiedzieć czegoś bliższego.

— Po powrocie można to zrobić, jeśli cię tak interesuje. Ale na razie spiesz się bo nie będą na nas czekać.

Z niewielkiemi plecakami ruszyliśmy na miejsce zbiórki. Autobus już czekał, kiedyśmy nadeszli, pakowała się do niego cała gromada. Była to wycieczka nauczycieli, którzy przez Rysy mieli iść na czeską stronę, a że Stefan kolegował kiedyś z jednym z nich, obiecali, że nas wezmą, żeby niepotrzebnie nie tracić czasu i sił na marsz do Morskiego. Jechało się nam wesoło, parę obecnych pań usiłowało śpiewać góralskie piosenki, zresztą bez wielkiego powodzenia, sypały się żarty i docinki. Doskonała maszyna ciągnęła w rekordowem tempie, tak, że droga zbiegła nam niepodziewanie szybko. Wesołe towarzystwo rozsiadło się do śniadania na obszernej werandzie hotelu, my zeszliśmy nad brzeg i tam rozpakowaliśmy nasze skromne zapasy.

— Nie obżeraj się zanadto, szkoda czasu, zjemy coś na przełęczy — radził Stefan, którego bytność w rok już niemal niewidzianych górach wprawiała w radosne podniecenie.

Szybko ruszyliśmy ścieżką okrążającą Morskie Oko i zadyszani trochę niewygodnemi stopniami stanęliśmy nad Czarnym Stawem. Oświetlone wczesnem, złotem słońcem wierzchołki skał odbijały się w drżącej lekko wodzie wyraźnie, do najdrobniejszych szczegółów. Gdzieś z

boku polatywał z cichym świergotem siwarnik, szary wróbel skalny.

— Jest tak pięknie, że szkoda niemal iść dalej — szepnął rozmarzony Stefan.

— To był całkiem głupi pomysł, wycieczka na jeden dzień...

— Nie martw się. Jeśli wrzesień dopisze, mamy przed sobą całe dwa miesiące. Nawet jak zarwiemy trochę wykładów, dziury w niebie nie będzie.

W dwie godziny staliśmy na przełęczy. Z jednej strony, w dole widniała niewielka z tej odległości ciemna tafla Morskiego. Z drugiej mieniły się jaskrawym szafirem Hińczowe Stawy.

— „Ordynarnie szafirowe" — uśmiechnął się Stefan. — Wiesz co, rozciągnijmy się tu trochę na słońcu. Jest bosko...

Słodkie ciepło słonecznych promieni, szum spadającej w dole wody, brzęk jakichś zabłąkanych na te wyżyny owadów ukołysał nas niepostrzeżenie do snu. Gdy się ocknąłem, było już południe.

Wstawaj, Stefek! piorunem! Inaczej nic z naszego Mięguszowieckiego. Spać można było i w domu.

Poszliśmy wąską, malowniczą granią. O setki metrów w dół Morskie Oko, ku niemu niemal prostopadle spadała granitowa, skalna ściana, na której grzebieniu staliśmy. Hotel wyglądał jak pudełko zapałek. Ku południowi, poza poszarpanemi szczytami gór roztaczała się dziwnie błękitna, mglista, nierealna jak świat z bajki Słowaczyzna.

Kiedy schodziliśmy z grani z powrotem, pogoda zaczęła się psuć. Górą świeciło słońce, ale wiatr zaczął pędzić z południa gęstą, kłębiącą się mgłę. Za chwilę waliły przez przełęcz całe jej masy, zbite, jak brudna wata. Wilgoć obsiadła skały, zrobiło się ślisko.

— Masz babo placek — narzekał Stefan. — Ani swetrów, ani wiatrówek, a tu się robi zimno, jak djabli. Pomyśl jak cudownie było jeszcze przed godziną.

Szedłem z trochę niemrawem uczuciem. Usiłowałem sobie coś przypomnieć, ale nie wiedziałem właściwie, co. Wiatr zerwał się nagle i szarpał z głośnym szelestem gałęzie kosówek.

— Psiakrew, jak ślisko — zaklął nagle Stefan — buty mam do niczego...

Obejrzałem się na niego.

Za mną nie było nikogo.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. To już nie był strach. To było coś stokroć gorszego, potworne, ohydne uczucie, które jak straszliwe pazury obejmowało serce, ściskało za gardło, wydzierało z człowieka duszę. Poczułem, że oczy wyłażą mi niemal z orbit, i wtedy zobaczyłem, jak mgła, gnana z przełęczy wiatrem, układa się w powietrzu w płynące na mnie gigantyczne, straszliwe, bezokie oblicze.

Straciłem przytomność. Wysłane w ślad za nami na drugi dzień pogotowie znalazło mnie na ścieżce bez zmysłów, z rozbitą o kamień głową. Stefana szukali dwa dni — bez skutku.

Trzy miesiące przeleżałem, niemal bez przerwy nieprzytomny. Wstałem z posiwiałemi skrońmi, straciłem cały rok studjów.

* * *

Na wiosnę obsunęło się pod bulą, przez którą biegnie ścieżka na przełęcz, rumowisko skalne i odsłoniło wylot szczeliny, która drążyła skałę na kilkadziesiąt metrów, z góry w dół, nieco na ukos. Znaleziono tam dwa szkielety, jeden całkiem zniszczony, rozsypane szczątki, żebra i piszczele, drugi zachowany całkiem dobrze. Nawet ubranie nie zgniło całkowicie. Górny wylot szczeliny wychodził tuż obok ścieżki, zarośnięty był śliską trawą górską i osłonięty całkowicie giętkiemi gałęźmi kosówki.

Szum potoku, spadającego powietrzną siklawą ze skał Mięguszowieckiego, dostatecznie zagłuszał łoskot ciała, obijającego się o głazy we wnętrzu szczeliny.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Zgon nestora dziennikarzy

Dnia 14 b. m. zmarł w Milanówku, po dłuższej chorobie, najstarszy dziennikarz polski, współredaktor „Gazety Warszawskiej", Józef Hłasko, przeżywszy lat 78.

Urodzony w r. 1856 w ziemi witebskiej, kształcił się w Warszawie, a następnie wstąpił do akademji medycznej w Petersburgu, skąd w krótkim czasie został zesłany na Syberję za czynny udział w ruchu konspiracyjnym.

Powróciwszy po pięcioletniem wygnaniu do Warszawy wstąpił do redakcji ówczesnego „Głosu", gdzie dał się poznać jako wybitny i utalentowany publicysta. W r. 1895 po raz drugi poznaje przymusowo Syberję i po odcierpieniu kary osiedla się we Lwowie, poświęcając się umiłowanemu zawodowi dziennikarskiemu.

W czasie wojny redaguje w Moskwie „Gazetę Polską" a od r. 1819 osiedla się w Warszawie, zajmując jedno z czołowych stanowisk w „Gazecie Warszawskiej", w której pracuje bez przerwy niemal do ostatnich chwil życia

Ś. p. Stanisław Zaleski

Dnia 10 lipca zmarł w wieku lat 52 Stanisław Zaleski, Sędzia Sądu Najwyższego i Dyrektor Departamentu Ustawodawczego Ministerstwa Sprawiedliwości. Urodzony w 1882 r. w Płocku, ś.p. Sędzia Zaleski odebrał wykształcenie średnie w mieście rodzinnem, poczem poświęcił się studjom prawniczym, które ukończył w 1906 r. na Uniwersytecie odeskim. Nie mogąc, jako Polak, poświęcić się pracy w sądownictwie, ś.p. Zaleski wszedł do szeregów adwokatury płockiej, w której pozostawał do 1917 r. Gdy we wrześniu tego roku poczęły się organizować sądy polskie, zmarły należał do pierwszego szeregu tych prawników polskich, którzy siły swe bezzwłocznie oddali na usługi odradzającej się państwowości polskiej. Od tej chwili widzimy ś.p. Zaleskiego w kadrach magistratury nieprzerwanie, to na stanowisku sędziego Sądu Okręgowego w Płocku (1917 r.), to znowu jako kierownika Prokuratury przy Sądzie Okręgowym w Radomiu (1921), aż wreszcie w 1923 powołany zostaje do Sądu Najwyższego naprzód w charakterze prokuratora, a od 1927 r. jako sędzia. Przez 9 lat zmarły bogacił orzecznictwo karne Sądu Najwyższego, zyskując na kierunek jurysprudencji znaczny wpływ dzięki swej rozległej wiedzy i głębokiemu zmysłowi



Ś. p. Stanisław Zaleski

praktycznemu. To też powołanie śp. Sędziego Zaleskiego w 1932 r. na niezwykle odpowiedzialne i trudne stanowisko Dyrektora Departamentu Ustawodawczego w Ministerstwie Sprawiedliwości stanowiło wybór naprawdę szczęśliwy i powitane było przez prawnictwo nasze z rzetelnem uznaniem. W ciągu 2 lat pracy na tem stanowisku, Zmarły wykazał cechujące go zalety wybitnego prawnika, doświadczonego człowieka i dobrego obywatela. Wielkie kodyfikacje rodzimego prawa karnego i cywilnego, które w tym czasie zostały zrealizowane inicjatywą i wydajnym trudem ś.p. Dyr. Zaleskiego. Był właściwym człowiekiem na właściwem stanowisku. To też śmierć ś.p. Zaleskiego uczyniła na ważnym odcinku polskiej służby sprawiedliwości wyrwę głęboką, którą niełatwo będzie wyrównać, a prawnictwo polskie pozbawiła jednego z czołowych jej przedstawicieli. Jak przez dzieło życia swego wykuł sobie ś.p. Zaleski pomnik trwały w dziejach prawa polskiego, tak dzięki wysokim zaletom osobistym zapewnił sobie trwałą pamięć wśród szerokich sfer naszego społeczeństwa.

CAFFE „ITALJA" Taras LETNI OTWARTY

w praktyce było jeszcze gorzej. Niższe b... yjne u... iński... dla dek... i tło dla wa... W m... była... izowa... tacje przy... żywotności i rozwoju — to największe ułatwienia, a niewąt-

Nie podróżujcie bez ASPIRINY

BAYER

OCHRANIAJCIE

skórę twarzy i ciała przed słonecznikiem i zmianami atmosferycznemi kremem „Ultrasol" lub olejkiem „Negrita". Ekonomiczne w użyciu, bo nie wymagają częstego wcierania podczas opalania. Szybkie, piękne ciemnienie skóry.

WŁOSY ROZJAŚNIA SŁONECZNY PŁYN HELLA PERFECTION NA ZŁOTOBLOND KOLOR

PORADY KOSMETYCZNE

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Helenie K. z Lublina. Zapytuje pani, czy defekty skóry, jakie zjawiają się u Pani w związku z uprawianiem kolarstwa, tennisa i innych sportów dadzą się usunąć i jak najlepiej im zapobiec. Radzimy Pani używać stale *Krem Sportowy* marki Antiba, który nadaje się do pielęgnowania twarzy, jako krem pod puder przy wrażliwej, suchej cerze. *Krem Sportowy* delikatnie natłuszcza naskórek i zabezpiecza od zbytniego wysuszenia i zaczerwienienia skóry pod wpływem wiatru lub słońca. *Krem Sportowy* przyśpiesza równomierne opalenie się. Krem ten może być również stosowany do oczyszczenia skóry z kurzu. W tych wypadkach smaruje się twarz kremem i ściera kawałkiem waty lub serwetką.

P. Janinie B. z Jastarni O usuwaniu piegów pisaliśmy już kilkakrotnie. Niech Pani zastosuje w ciągu bieżącego lata *krem Blanca* marki Antiba. Nawet uporczywe piegi winny ustąpić.

P. Krystynie R-kiej z Przemyśla. Pod oczami koło uszu i szyji zjawiła się u Pani siateczka zmarszczek. Radzimy zastosować płyn ziołowo - miodowy przeciw zmarszczkom *Extrait Antiride* — Antiba, który wzmacnia i udelikatnia naskórek. Specjalnie nadaje się do pielęgnowania twarzy przy cerach suchych i normalnych. Przy zmarszczkach pod oczami stosować należy w postaci okładów.

OTYŁOŚĆ

OSŁABIA SERCE...

Serca otyłych, obłożone tłuszczem, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i wcześniej odmawiają posłuszeństwa.
Zioła Magistra Wolskiego „Degrosa" zawierają jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga, który wprowadzony do organizmu, pobudza gruczoł tarczowy do należytej pracy, powodując spalanie nadmiernego tłuszczu. Stosują się przeciwko otyłości i nie wymagają specjalnej djety.

ZIOŁA ze znak. ochr. **„DEGROSA"**

do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. WOLSKI, Warszawa. Złota 14, m. 1.

Z PARYSKIEJ MODY



Modna sylwetka — falbanki i kokardy

Higjenistki przyrodolecznicze

„Pierwsze w Polsce dwuletnie Kursy Przyrodolecznicze dla pomocniczego personelu lekarskiego" założone są z inicjatywy p dyr. Iny Kisielewskiej. O potrzebie szkolenia takiego personelu wypowiadały się nieraz Zjazdy Lekarskie. Wykłady prowadzi 20 lekarzy wybitnych specjalistów z Kierownikiem Naukowym na czele.

Hygjenistki otrzymują wiedzę z podstawowych wiadomości medycznych i specjalizują się w działach przyrodolecznictwa: wodo - światło - elektrolecznictwie, mechanoterapji, Roentgenie, oraz djetetyce. Ćwiczenia odbywają w doskonale urządzonych szpitalach: Centr. Wyszkol. Sanitarnego (Ujazdowskim) i im. Marsz. Piłsudskiego (Mokotowskim) oraz w przodujących Uzdrowiskach.

24 czerwca, po złożeniu dyplomowych egzaminów wobec Państwowych Delegatów, pierwsze absolwentki kursów otrzymały dyplomy hygjenistek przyrodoleczniczych.

Uruchomienie Kursów jest jeszcze jednym tryumfem polskiej myśli twórczej, nawet na forum międzynarodowem, ponieważ tego typu zakładu naukowego brak nawet zagranicą. Jest to nowe pole pracy zawodowej o wielkiej przyszłości.

O Kursach, które posiadają wzorowy lokal, pomoce naukowe, internat i t. d. informuje Sekretarjat Kursów Przyrodoleczniczych Dyr. I. Kisielewskiej i dr. med. M. Biernackiej w Warszawie, Szopena 16

PIWO PORTER WÓDKI LEMONIADY HABERBUSCH i SCHIELE S. A. KONIAK „MARTEAU" dla znawców

SUDORYN „Ap. Kowalski" w proszku usuwa POT i WOŃ

„BODEGA" pod kier. p. HENRYKA M. FUKIERA WYSTĘPY ŚWIAT. SŁAWY KOMIKA ANGIEL. JOE CASSIDY

MYDEŁKO DO ZĘBÓW
PASTA NA ELIKSIRZE **CHERYS** POWSZECHNIE
ZNANEJ DOSKONAŁOŚCI

Proszki „Ap. Kowalski“ **„Kowalskina“** stosuje się przy uporczywych **bólach głowy**

Przyrządzanie marmelady w przeciągu 10 minut

z moreli, jeżyn, jagód, malin, mirabelek, brzoskwiń, śliwek, renklod, agrestu, według ogólnego przepisu „Opekta“.

Dodatki: 2½ kg. owoców, 2½ kg. cukru, 1 butelka Opekty i sok z 1 cytryny.

Owoce obmyć, usunąć z nich pestki i dokładnie zważyć, większe owoce przekroić, dodać całą ilość cukru i gotować w ciągu 10 minut, stale mieszając. Potem dolać 1 butelkę Opekty i sok z jednej cytryny. Gorącą marmeladą napełniać słoiki po same brzegi i zawiązać je. Oto wszystko!

OPEKTA W PŁYNIE: butelka wystarcza do sporządzenia 4—6 kg. marmelady.

OPEKTA W PROSZKU: torebka wystarcza na 1 kg. marmelady.

Przepisy do sporządzania konfitur z wszelkiego rodzaju owoców dołączone są do każdego opakowania.

Wszelkich informacyj udziela bezpłatnie poradnia Opekty, Warszawa, ul. Ceglana 11.

W 10 MINUT

Opekta



idzie od stóp poprzez całe ciało z chwilą kiedy zdejmiemy obuwie i zmęczone, palące stopy zanurzymy w ciepłej wodzie z dodatkiem soli do nóg Jana. Odparzona, zgrubiała a nierzadko z bolącemi odciskami skóra nóg, mięknie, delikatnieje, a substancja rogowa odcisków traci na twardości i daje się usuwać. Uczucie niewypowiedzianej ulgi towarzyszy temu łatwemu zabiegowi, który każdy człowiek powinien codziennie stosować, powróciwszy wieczorem do domu, po całodziennej wędrówce po mieście, w upalne dni letnie, kiedy noga łatwo potnieje i odparza się. Noga więziona przez cały dzień w obuwiu, noga pozbawiona powietrza, noga spocona, wyczerpana, obolała, aby mogła nas utrzymać dalej, wymaga pielęgnacji codziennej i krótkiej uzdrawiającej kąpieli w wodzie z dodatkiem nieodzownym soli do nóg Jana. Pamiętajcie o tem wszyscy, chcący lekką stopą przebiegać bez zmęczenia ulice miast, gorące asfalty, raniące stopy bruki z kocich łbów... Sól do nóg Jana przypnie skrzydła Waszym stopom.

Dr. MICHAŁEK-GRODZKI, chir. plast.
OPERACJE KOSMETYCZNE
Warszawa, Złota 3 (Lecznica) g. 1—2, 5—7

3-a filja ZIEMIAŃSKIEJ
JEROZOLIMSKA 8
między Bracką a Nowym Światem

CO NIOSĄ FALE ETERU?

TRANSMISJA Z SALZBURGA OPERY „FIDELIO“ — BEETHOVENA
sobota — 19.10.

Koncert symfoniczny
piątek — 20.22.

„W Ojczyźnie Syreny“
feljeton — piątek — 22.05.

Hanka Ordonówna
sobota — 20.40.

„Szlakiem Mickiewiczowskim“
niedziela — 13.45.

Chór Juranda
niedziela — 19.15.

Elna Gistedt
poniedziałek — 16.00.

„Matki w barakach“ — odczyt
poniedziałek — 18.00.

Zespół Revellersów Meyerholda
poniedziałek — 20.12.

„Kobieta nowoczesna“
operetka — wtorek — 20.12.

„O kulturze dnia powszedniego“
środa — 18.45.

Jarossy w „ekstrakcie“
mikro - rewja, — środa — 16.00.

Jarosław Goebel - Tarnawa
środa — 19.35.

„Człowiek który widział djabła“ w „Teatrze Wyobraźni“
czwartek — 18.15.

Wizyta mikrofonu u pp. Bigudlskich
czwartek — 22.15.

W pociągu najmilej spędzisz czas — czytając ciekawe dzienniki i czasopisma

JEDYNY PRZYJACIEL
który nigdy
NIE ZAWODZI
to oryginalne



Instytut Hippiczny
JAZDA KONNA
NOWY TATTERSAL
LITEWSKA Nr. 3
tel. 8-95-35

Konkurs Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy

NA SZTUKĘ LUB WIDOWISKO TEATRALNE

Konstatując poważne braki w dziedzinie popularnych sztuk i widowisk teatralnych o wysokim poziomie artystycznym z jednoczesnem przystosowaniem ich do potrzeb kulturalnych Polonji zagranicznej, Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy rozpisuje konkurs na:

1. sztukę lub widowisko teatralne dla dzieci w wieku szkolnym,
2. sztukę lub widowisko teatralne dla starszej młodzieży.

UWAGI OGÓLNE.

Zarówno sztuki lub widowiska jednolite, jak i składane, winny mieć *charakter wybitnie polski*, propagandowy, ze szczególnem uwzględnieniem moralnych i materjalnych zdobyczy ostatnich lat, z wyłączeniem pesymistycznych nastrojów niewoli.

Tematy dowolne, najbardziej jednak pożądane są utwory, nadające się do:

1. obchodów rocznic historycznych (np. odzyskania niepodległości, Konstytucji 3-go Maja);
2. uczczenia wielkich Polaków, zarówno nieżyjących, jak i żyjących (np. Kościuszko, Marszałek Piłsudski);
3. uświetnienia tradycyjnych obrzędów (np. gwiazdka, zapusty, dożynki, wianki);
4. ożywienia uroczystości organizacyjnych: przysposobienia wojskowego, wychowania fizycznego, harcerstwa, Strzelca, Sokoła, Junaka, kółka śpiewaczego, straży pożarnej i innych organizacyj, czynnych wśród Polaków zagranicą;
5. podniesienia wagi uroczystości okolicznościowych (np. założenia kamienia węgielnego pod nową polską placówkę na obczyźnie: szkołę, schronisko, ochronkę, bursę, dom ludowy, świetlicę, bibljotekę lub klub; otwarcia boiska sportowego, zakończenia roku szkolnego i t. d.);
6. urozmaicenia zabawy (np. karnawałowej, wycieczki, imienin, zaręczyn, wesela).

Utwory sceniczne mogą być przeznaczone do odgrywania przez młodzież lub dzieci dla ludności osiedla rolniczego, osady fabrycznej lub wielkiego miasta. Akcja może się rozgrywać zarówno w Polsce i nosić charakter regjonalny, jak i w poszczególnych znanych autorowi ośrodkach Polonji zagranicznej:

Tendencją utworu winno być pobudzenie uczuć patrjotycznych Polaków zagranicą, zwrócenie ich uwagi na rozwój i wzrastające znaczenie Polski na całym świecie, zachęta do utrzymywania stałego kontaktu z Macierzą, propagowanie jej największych wartości, zarówno moralnych, jak i materjalnych, wśród obcych, oraz to wszystko, co może się stać podstawą do rozbudzenia w duszy Polaka zagranicą poczucia narodowego, głębokiej wiary we własne siły i wielką przyszłość Narodu.

Widowisko teatralne odbywać się może zarówno na scenie zamkniętej (z uwzględnieniem najprymitywniejszych warunków inscenizacji), jak i na otwartej przestrzeni.

W jednolitych utworach scenicznych pożądana jest proza z ewent. zastosowaniem wierszy i piosenek, widowiska składane np. rewje, mogą być ujęte w formę dowolną.

WARUNKI KONKURSU.

1. Sztuka konkursowa winna być oryginalna, nigdzie dotąd nie drukowana.
2. Obowiązuje maszynopis jednostronny.
3. Sztukę należy podpisać godłem (bez podania nazwiska autora). Imię, nazwisko i dokładny adres autora należy przesłać równocześnie z tekstem w osobnej, zaklejonej kopercie, na której należy podać jedynie godło, jakiem sztuka została podpisana.
4. Adres dla przesyłek, przeznaczonych na konkurs: Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy — Warszawa, Mazowiecka 1 m. 5. Konkurs teatralny.
5. Ostateczny termin nadsyłania sztuk teatralnych: 1 stycznia 1935 roku.
6. Ogłoszenie wyników konkursu w prasie polskiej w kraju i zagranicą nastąpi w dniu 1 lutego 1935 roku.
7. Nagrody:
   I nagroda zł. 2.000,
   II nagroda zł. 1.500,
   III nagroda zł. 1.000.
8. Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy zastrzega sobie prawo nieograniczonej ilości wydań każdej z nagrodzonych sztuk teatralnych bez dodatkowego wynagrodzenia oraz prawo indywidualnych pertraktacyj z autorami prac nienagrodzonych w sprawie ewent. zakupienia tych prac.

Skład Sądu Konkursowego.

Marja Dąbrowska, Wanda Borudzka, Wiktor Tomir Drymmer — dyrektor Dep. Konsularnego M. S. Z., Władysław Zawistowski — naczelnik Wydz. Sztuki Min. W. R. i O. P., Dr. Apolonjusz Zarychta— naczelnik Wydziału M. S. Z., Płk. Tadeusz Różycki — szef Wojsk. Instytutu Nauk.-Wyd., Mjr. Karol Krzewski — przewod. Gł. Rady Programowej Pol. Rad., Ferdynand Goetel, Ryszard Ordyński, Wiktor Ambroziewicz — prezes Komitetu Wych. Nar. Młodz. Pol. z Z., Jerzy Zawiejski — kierownik artystyczny Instytutu Teatrów, Stefan Lenartowicz— sekretarz gen. Rady Org. Pol. Ludowych z Zagr., Mamert Miż-Miszyn — kierownik referatu kulturalno-oświatowego w Radzie Org. Pol. z Zagr.

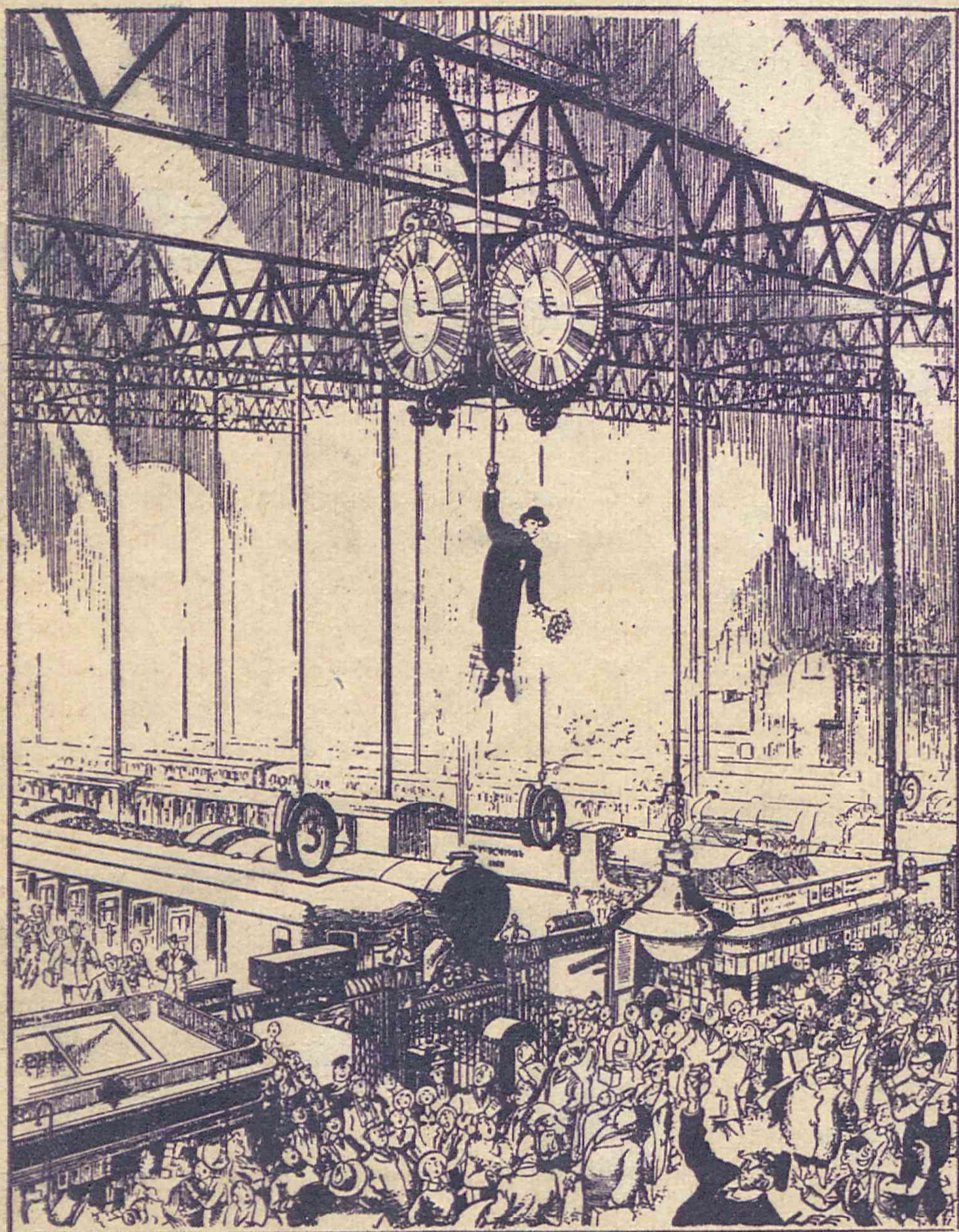
PIEGI
ŻÓŁTE PLAMY
OPALENIZNĘ
USUWA KREM
PRECIOSA
PERFECTION

ORYGINALNE PROSZKI
„MIGRENO-NERVOSIN" R.M.S.W. Nr 1599
ZN. FABR. KOGUTEK
SĄ ŚRODKIEM KOJĄCYM BÓLE
ZASTOSOWANIE:
BÓLE GŁOWY i ZĘBÓW, MIGRENA, NEWRALGJA, GRYPA i PRZEZIĘBIENIA, BÓLE STAWOWE, KOSTNE, ARTRETYCZNE i T. P.
ŻĄDAJCIE W APTEKACH PROSZKÓW ZE ZN. FABR. „KOGUTEK" W ORYGINALNEM OPAKOWANIU PO 5 PROSZKÓW.
UŻYCIE: W RAZIE POTRZEBY 1-2 PROSZKI DZIENNIE.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 125
DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE
ważny od 20 do 26 lipca r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.
50%
Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godz. 6-ej po poł. biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popular. zniżka 50% oblicza się od cen normalnych

A. K. SEMADENI

ZAKOCHANY I DOKŁADNY



— Nie, panie przodowniku, nie zejdę! Ona kazała mi czekać pod zegarem...

Z PARYSKIEJ MODY



Płaszczyk do kolan i duży płaski kapelusz — oto sylwetka paryżanki tego lata.

Anegdoty teatralne

Wśród uczennic warszawskiego baletu była dziewczynka, którą koleżanki przezwały „Ofelcią" — stwierdzając tem, iż uważają ją za niespełna rozumu. Miała ona zwyczaj płatać psie figle, nietylko własnym koleżankom, ale jej ekspansja w tym kierunku rozszerzała się nieraz na aktorów.

Na scenie teatru Wielkiego grano „Sen nocy letniej", Szekspira.

Ofelcia owego wieczoru przyszła wcześniej do teatru, a uczyniła to, jak się okazało — z premedytacją.

Przyniosła bowiem ze sobą dwa rodzaje proszku: do kichania i tak zwany „swędzący". Pierwszy rozsypała po całej scenie, a drugi ponasypywała w trykoty aktorkom, aktorom, statystom i baletnicom.

Tego wieczoru wykonawcy szekspirowskiej komedji czynili, jak na komendę, jakieś niesamowite ruchy i łamańce, a kwestje roli przerywane były serjami kichania.

* * *

Dyrektor lwowskich teatrów, Ludwik Heller, wezwał raz do siebie tenora, chcąc z nim zawrzeć umowę na występy. Śpiewak już od progu kancelarji oświadcza:

— Uprzedzam dyrektora, że zaśpiewam panu bardzo wysoką sumę.

A na to Heller:

— Szkoda, że pan na scenie nie umie tak wysoko i czysto śpiewać.

CENY OGŁOSZEŃ W „ŚWIECIE"

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, ½ 300, ¼ 150.—, ⅛ 75
„ III „ 450.—, ½ 225, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300,
Za tekstem . . . . . . Zł. 600, ½ 300.—, ¼ 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.
WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa